ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 5 1. II. 1936 R.

Marja Malicka gra z wielkiem powodzeniem w wesołej sztuce „Trafika Pani Generałowej" we własnym teatrze na Karowej.

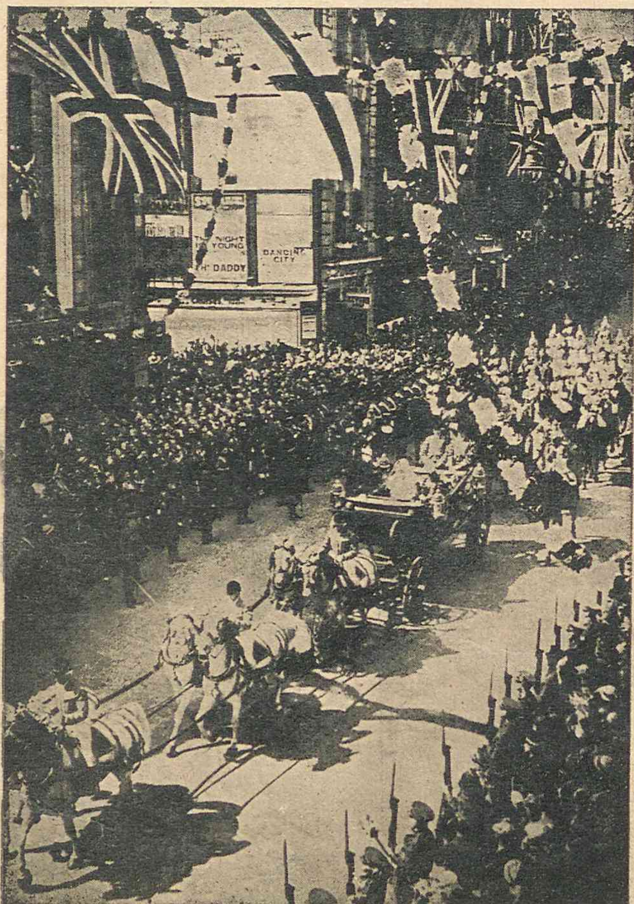
Z ŻYCIA ZMARŁEGO KRÓLA JERZEGO V

Zdjęcie poniżej: Król Jerzy V (pierwszy z lewej) wraz z królową Mary i wnuczętami, na balkonie pałacu królewskiego w Londynie, podczas owacji ludności na cześć rodziny królewskiej z racji jubileuszu 25-lecia panowania (w roku 1935). Zwraca uwagę wesołość króla, który odznaczał się nader pogodnem usposobieniem.





Król Jerzy w loży królewskiej podczas rewji policji w Hyde Parku. Obok siedzi królowa, stoją: książę Yorku i ks. Connaught.



Z uroczystości jubileuszowych: karoca królewska w drodze z pałacu do katedry.



Król Jerzy podczas rannej przejażdżki konnej w swej posiadłości Sandringham, gdzie zakończył życie.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 5 1.II.1936

Z ŻAŁOBNYCH DNI W ANGLJI



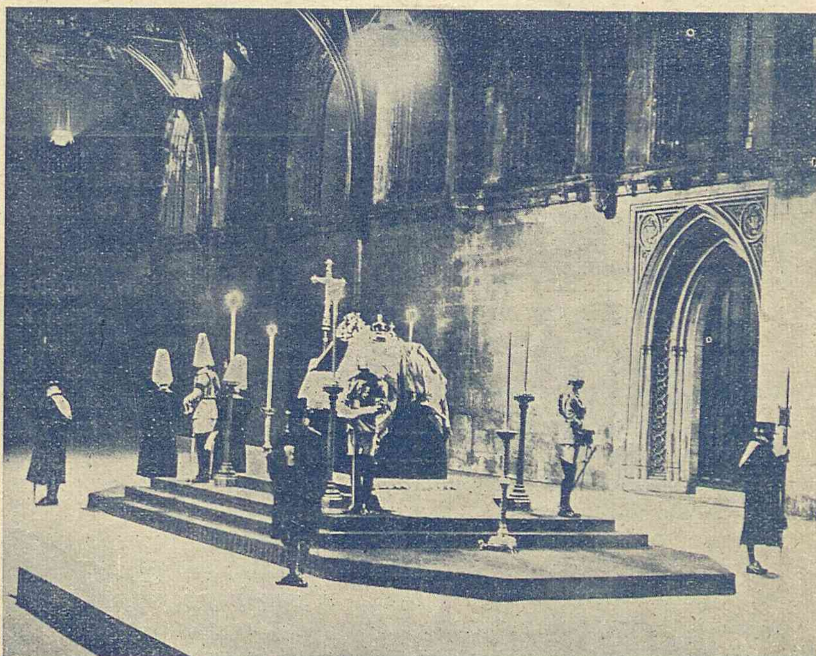
NOWY MONARCHA WSTĄPIŁ NA TRON

Uroczyste obwieszczenie z balkonu pałacu St. James o wstąpieniu na tron króla Edwarda VIII.



Zgodnie z odwieczną tradycją herold królewski odczytuje proklamację do narodu, zredagowaną w języku francuskim.





Katafalk królewski w Westminster Hall.



Przybycie trumny ze zwłokami króla Jerzego V na dworzec w Londynie. Na pierwszym planie — rodzina królewska w żałobie.

L. CHRZANOWSKI.

Śmierć monarchy-demokraty

Żałoba, która okryła Anglię, jest nietylko żałobą serc i zwykłego sentymentu ludzkiego. Ta żałoba i sposób jej manifestowania i odczuwania przez naród angielski wykazują, jak głęboko sylweta króla Jerzego V-ego była wyryta w obywatelskiej świadomości wszystkich warstw społecznych, wszystkich stronnictw politycznych. Dzięki niezwykłej lojalności wobec swego narodu, niezwykłemu taktowi i rozsądkowi Jerzy V odniósł ten tryumf, iż za życia króla z jego głosem liczyli się nietylko konserwatyści, ale i partja pracy (labourzyści), syndykaty robotnicze i socjaliści. Będąc symbolem władzy, symbolem ciągłości państwa, symbolem supremacji interesu państwa i narodu nad interesami egoizmów kastowych czy klasowych, Jerzy V był królem narodu demokratycznego, narodu przyzwyczajonego do swobód i liberalizmu obywatelskiego. Jego demokratyzm był z tych najwyższego gatunku. Potrafił pogodzić tradycję, a nawet formalistykę tradycjonalną z treścią i duchem demokratyzmu narodu. Władza króla pod berłem Jerzego V była wyrazem i regulatorem woli narodu, nie stając i nie zwalczając głębokich, żywych dążeń i prądów, jakie naród przeżywał.



Przewiezienie zwłok królewskich z dworca kolejowego w Londynie do Westminster Hall.

Nic więc dziwnego, że organ labourzystów, socjalistyczny „Daily Herald“ żegna zmarłego króla słowami: *„Król Jerzy V zrozumiał lepiej niż którykolwiek z Jego poprzedników istotę funkcji monarchji w życiu narodu w epoce demokratycznej. Nie był on tylko szczęśliwym, był on dumnym z roli Naczelnika Państwa narodu, który z największą słusznością nazwany został „ukoronowaną republiką“.*

Wówczas gdy inni królowie i cesarze walczyli, aby zachować swą osobistą władzę, osiągając tylko katastrofy i tragiczny koniec, Jerzy V-y szczerze i z wielkiem poczuciem realizmu porzucił wszelką ambicję personalną i wyznaczył sobie jako ideał: stać się pierwszym sługą państwa.

Jego stosunki z ministrami wszystkich stronnictw były znakomite. Zawsze oddawał swe doświadczenie na usługi kierowników narodu. Swe przekonania formułował z otwartością i jasnością. Ale również zawsze przyjmował lojalnie decyzje swych ministrów i postępował zgodnie z ich radami“.

A dalej „Daily Herald“ notuje:

„Jerzemu V-emu obce były próżność i egzaltowane pojęcie o instytucji, które doprowadziły do ruiny jego kuzynów z Rosji i Niemiec“.

Tak piszą o Jerzym V-ym socjaliści angielscy — jest to najlepszy dowód, jak trafną metodę rządzenia wybrał Jerzy V-y. Monarcha, który tak jest oceniany przez stronnictwo zwalczające monarchję jako reżym, pragnące przeistoczyć ład społeczny w państwie — a jednocześnie mianujące króla tego państwa na godność pierwszego według zasługi — obywatela tego państwa; monarcha — który w kraju, gdzie są 3 miljony bezrobotnych, zawsze i wszędzie, w każdym tłumie witany był entuzjastycznym „hurra“ — taki monarcha zdobył, wypracował sobie, uzyskał sobie miano wielkiego króla, wielkiego męża stanu.

Uroczyste obwieszczenie nowego króla przez Lorda Mayora Londynu i jego świtę w barwnych bogatych historycznych strojach.



P·K·O

PEWNOŚĆ – ZAUFANIE

Wymowa cyfr...

	1925 r.	1930 r.	1935 r.
Ilość klientów.	128.460	699.424	2.088.037
Wkłady	64.980.888 zł.	431.311.744 zł.	881.686.879 zł.
Gotówka	18.440.987 „	115.994.966 „	181.982.428 „
Lokaty własne	36.755.740 „	347.018.552 „	699.463.339 „

OBRÓT W 1935 ROKU – 29 MILJARDÓW ZŁOTYCH



Edward VIII, król Anglji, w mundurze admirała marynarki angielskiej.

KRÓL UMARŁ – NIECH ŻYJE KRÓL!



H. KOROLEC-BUJAKOWSKA

OD WARSZAWY DO SZANGHAJU

(Korespondencja własna „Świata")

BOGI I BOŻKI

Po oślizgłych, oplutych panem schodach wchodzimy w ciemny loch. Buty żałośnie kiwają do mnie od progu. Żegnaj; gdy wrócisz, może się zobaczymy, a może już nie będzie nas.

Idę na palcach, bojąc się dotknąć muru i podłogi. Długi, ciemny korytarz zda się nigdy nie skończyć. Opasły bramin toczy się przodem, wskazując przejście. Wchodzimy do wnętrza piwnicy, gdzie jest jeszcze ciemniej.

Przez małe luki w murach zgóry padają snopy światła, rozświetlając jedynie ciasny krąg.

Przyzwyczaja się wzrok. Zaczynam rozróżniać kąty, załamania i jakieś bałwany, poustawiane jeden obok drugiego.

Idziemy kręgiem. Pierwsza zachwyca wzrok galerja koszmarnych sadu, malowanych na czerwono ze strasznemi, wyłupiastemi oczami, jak zmory senne. Bardzo byli święci, więc ich bałwany nawet dzisiaj są czczone.

A dalej z szarego kamienia bożki. Sziwa, lingamy Ganapati ze słoniową trąbą. W mrocznym kącie czają się wspaniałe kobry. Tak niesamowite, że aż skóra cierpnie.

W snopie światła siedzi rozkoszny Baloo, bóg - niedźwiedź, z książką w łapach. W innym kącie Hanuman z małpią twarzą, — święty langur. Brahma (bóg słońca), Kali, Durga... Labirynty nisz i załamań, a w każdej przycupnął jakiś bóg. Jedne kryją się w tak gęstym mroku, że dostrzec coś trudno. Na inne, jak reflektor, pada snop światła.



...bożki toporne, ciężkie, okropne...



...przycupnął jakiś bóg...

Gdy już zagubiliśmy się wśród załamań lochów, jak duchy, jak nietoperze, gdzieś z najciemniejszych kątów wypełzli fakirzy. I dalejże, tłocząc się na siebie i na nas, bić czołem pokłony do stóp każdego bałwana.

Bramin huknął groźnie — zniknęli, rozpłynęli się w mroku, wsiąkli w wilgotne mury ścian.

Wydarłam się na światło dzienne oślepiona, jak ćma -- buty były na miejscu. Uśmiechnęły się dziurami do swej właścicielki i prędko wsunęły na nogi.

Bramin wziął rupję, wyrażając swe głębokie niezadowolenie z tak skromnego datku, zarzucił węzełek na plecy i poszedł sobie.



...rozkoszny Baloo, bóg niedźwiedź, z książką w łapach...

Może najstarsza świątynia hinduska na naszej drodze. Ma podobno więcej, niż dwa i pół tysiąca lat. Zresztą, ile ma lat dzisiaj, już nikt nie pamięta.

Nie oblicza się jej na setki tysięcy w złocie i klejnotach, więc hindusi nie pamiętają. Przechowała się w podziemiach fortu Allahabadu w całym pierwotnym wdzięku mrocznego, pogańskiego prymitywu.

Bożki toporne, ciężkie, okropne w malowaniu wyłupiastych oczu. Jak świątki przydrożne z dżungli. Jakże inne od tych, co pozostały z ruin świątyń i pałaców króla Asoka w buddyjskiem Sarnah pod Benares.

A jednak te bałwanki mają w sobie coś bardzo rzewnego i są zabawne dla oka. Byle nie trzeba było zdejmować butów. Chodzenie w pończochach po świętych brudach jest bardzo przykre.

Ganges i Jumna. Bożki świątynne. Stary fort. I mahometańskie miasto Allahabad. Jasne, szerokie, tonące w zieleni ogrodów królewskich.

W Allahabadzie, gdy się wyjdzie wieczorem w dzielnicę handlową, idą orszaki ślubne jeden za drugim. W lektykach, konno i zbrojno, na wielbłądach, drużbowie prowadzą pięknie, strojne w czapraki białe konie. Światła.

Lampiony. Tańce. Nawet śpiewy i radosne okrzyki.

Zagubisz się w weselnym tłumie i przez chwilę może ci się zdawać, że bierzesz udział w tem święcie miasta, bo wesele jest świętem wszystkich.

Meczety, świątynie hinduskie, kościół anglikański i Ojcowie Salezjanie. Ich konwent i Colège skryły się w bujnym ogrodzie wśród zieleni cantonamentu. Tam uczą się wszystkie niewierne dzieci.

Nawet dzieci naszych znajomych, zagorzałych mahometan.

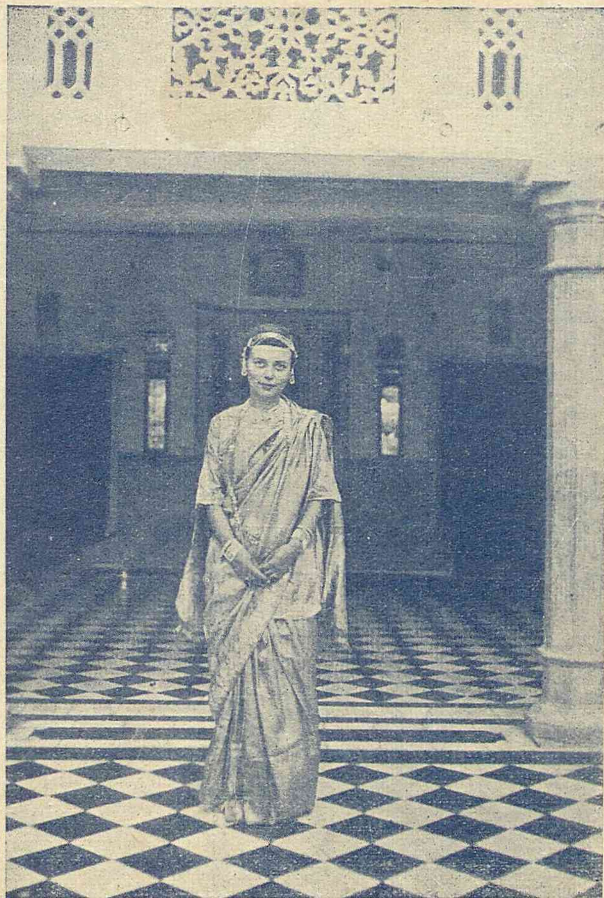
On pali hokę, a ona jest rodem z Hyderabadu. Dzieci są naprawdę bardzo miłe i noszą okulary dla zaakcentowania swojej mądrości.

W tym domu spędziłam przemiły dzień w pardah, prawdziwem pardah muzułmańskiego haremu. Idzie się tam przez labirynt zakamarków, korytarzy i pokoików, albo wprost z ulicy, przez maleńkie, boczne drzwi w murze.

Ogromna sala, wsparta na kolumnadzie. Mozajka z kolorowych kafli. Brak jednej ściany, tej dłuższej. Stopnie szerokich schodów i ogród, tonący w kwiatach.

Wysoki, gruby mur zamyka ten ogródek z trzech stron, tworząc z niego jakby rozszerzenie sali. Niskie tapczany, pokryte perskim dywanem, lub szalem kaszmirskim. Na niskich stołeczkach drobiazgi ze srebra, rzeźbionego misternie.

...panny zdecydowały, że muszą przebrać mnie w sari mahometańskie...



W tem jasnem, przestronnem wnętrzu mieści się właściwe życie domu. Życie codzienne, rodzinne — intime. Tam obcy nie mają wstępu. Ich przyjmuje się w mrocznym salonie i sali jadalnej, gdzie ze ścian patrzą portrety przodków. Z czarnego tła płócien spoglądają harde, brunatne oczy. Blade ręce, wsparte na gardach krzywych szabli. Pasy, ordery, turbany, fezy...

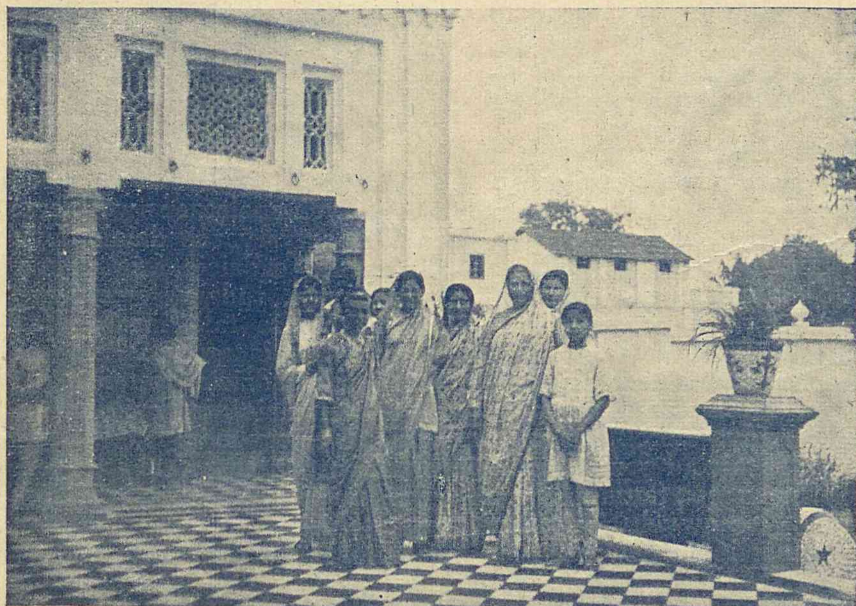
Ciężkie, dębowe meble. Stół długi, bo zasiada codzień więcej, niż dziesięć osób.

Wróćmy do pardah. Dostąpiliśmy tego zaszczytu, by być na prawach rodziny i najbliższych przyjaciół. Zaszczyt nielada. Zdziałał to list od siostrzeńca pana domu. I ist magiczny otworzył wrota haremu.

Zresztą nasi znajomi są raczej postępowi.

Panny zdecydowały, że muszą mnie przebrać w sari mahometańskie, by zrobić zdjęcia. Trzeba było kręcić film, gdy one mnie ubierały. Dwie młodsze pobiegły do garderoby przynieść szaty. Wciągnęły mnie do małego pokoju - ubieralni o wąskich, długich lustrach.

Obdarły z prostej sukienki i zaczęło się. Dwie służebnice ubrane nie w sari, a w muzułmańskie spodnie i czadry, podają pannom sari błękitne i złote. Wybieram błękitne w złote kwiaty. Sari z Benares. Na kuse desous nałożyły mi szeroką, marszczoną spódnicę, wiązaną



...w tym domu spędziłam przemiły dzień w muzułmańskim haremie...



...łańcuch na szyję, na głowę djadem, obroża z pereł.

z przodu. Potem złotą jedwabną bluzę o półdługich rękawach. I klęcząc, omotały mnie w kokon sari. Ledwo mogę się poruszać. Gorąco nieznośnie.

Temu nie koniec. Sadzają na tachcie w pośrodku pardah. Teraz dwie starsze siostry i matka zabierają się do pracy. Z płaskiego puzdra wyjęły klejnoty. Cały komplet. Cyzelowane złoto, perły, rubiny. Panny usiadły z dwóch stron na tapczanie. Na sztywno podniesione ręce, jak manekina, nanizują pierścionki i bransolety. Matka nakłada mi złoty łańcuch na szyję. Potem obrożę z pereł. Agrafą spina sari na ramieniu.

Na głowę djadem, na uszy długie zausznice. Już gotowe. Wstaję i niezdarnym krokiem posuwam się naprzód, jak młody niedźwiedź. Są zachwycone. Ja dużo mniej. Takiego skrępowania strojem jeszcze nigdy nie miałam. I jak zwykle w zbyt kobiecych szatach, wyszłam na zdjęciu okropnie. Jak ordynarny łobuz w przebraniu, robiący słodkie miny.

Prędko, z westchnieniem ulgi, wróciłam do swojej sukienki. Dobra sukienka, nieprzezroczysta i chłodna. Robrony, halki i tym podobne okropności pod nią nie istnieją.

Panienki przyniosły dwa patefony. Jeden staromodny, mahoniowy z inkrustowaną trąbą. Ten wygrywał fokstroty z przed dziesięciu lat. I nowego His Masters Voice, który dla kontrastu darł się nudnem zawodzeniem Wschodu.

Musieliśmy panienkom pokazać, jak się tańczy w Europie. Nucąc, pohukując, by wywołać melodję, omal, że nie grając na grzebieniu, nadeptywaliśmy sobie uparcie na nogi, sycząc polskie przekleństwa pod ich adresem.

Panienki były zachwycone. One nigdy nie tańczą i nie widziały tak zwanych salonowych tańców.

Och, one tak mało widziały. Właściwie nic. Allahabad, może Benares i Hyderabad. Wyobrażam sobie ten przełom, gdy wyjadą po raz pierwszy do Europy. Jedna z nich już była w Mecce i Medynie. Ta pewnie nie będzie już więcej podróżować. Jest najstarsza — wyjdzie zamąż.

Wszystkie inne marzą o tem, by wyjechać w świat, a potem, by pójść w ślady najstarszej siostry. Cóż, zmiana pardah to też ewenement w ich życiu.

Kalkutta

Zdjęcia St. Bujakowskiego.

WITOLD GOMBROWICZ

O STYLU ZOFJI NAŁKOWSKIEJ

Przyznanie Zofji Nałkowskiej państwowej nagrody literackiej za r. 1935 powinnoby znęcić krytyków do wydobycia się z poszczególnych egzemplarzy dorobku znakomitej pisarki i do badań nad całością duchowego egzemplarza, zwanego krótko — Zofją Nałkowską.

Dłubanie w pojedyńczych egzemplarzach i uprawiana powszechnie w prasie krótka estetyczno - fachowa ocena książki, jako „zamkniętego w sobie dzieła sztuki" w oderwaniu od innych dzieł autora i od samego autora, nie przydaje się na wiele ludziom, spragnionym realnych życiowych treści. Niema większej nudy nad tę, zrodzoną przez 200-wierszowy artykuł, w którym zaznaczono, że pierwsze 100 stron powieści lepiej jest skomponowane, niż 100 następnych. Nic nie czyni czytelnika bardziej zimnym, niż gdy powiadamiamy go, że wszystkie wątki utworu doskonale są ze sobą powiązane. Autor z najwyższym niesmakiem czyta te pobieżne sądy, szerokiego ogółu to nie zaspakaja... i pomijając, że od wiecznego powtarzania tych samych fachowych wyrażeń można nabawić się zawrotu głowy, duch szkolarstwa, duch polonistyki, duch siódmej gimnazjalnej unosi się ponad mętnemi, stojącemi wodami, ponad wielkiem bajorem zdawkowo-wytrawnych estetycznych sądów, nudnych, podkreślamy to jeszcze raz i podkreślać będziemy stale, choć ze spokojem, nudnych, nudnych.

Nie. Krytyka dziennikarska, jeżeli ma być efektywna, musi mieć wyczucie realnych wartości, dla których społeczeństwo bierze do ręki artystyczne dzieło. Czy naprawdę sądzicie, że zalety kompozycji, tudzież estetyczne piękno bierze tak bardzo czytelnika, sięgającego po książkę? Jeżeli tak sądzicie, jesteście już zbyt beznadziejnie uwikłani w waszych estetykach. Nie — czytelnik, prócz interesu estetycznego, ma jeszcze dużo ważniejszy osobisty, życiowy interes do autora. Nietyle rozkoszuje się absolutnem i oderwanem pięknem utworu, ile podgląda życiową formę pisarza i pożycza ją sobie na własny, domowy użytek.

Ileż osób naśladowało i naśladuje Werthera, bohaterów Wellsa, bohatera - Połanieckiego, albo ordynata Michorowskiego, albo Iwonkę, albo Dzikuskę. Powierzchowne jednostki chętniej czerpią nieodzowne elementy formy z bohatera, niż z autora, z Kmicica, niż z Sienkiewicza. Lecz mniej naiwni, wiedząc, że bohaterzy egzystują w imaginacji jedynie, wolą podglądać, jak uformował się realny Sienkiewicz, niż fikcyjny Kmicic. Interesuje ich już nie — któraś z postaci teatralnych Słonimskiego, lecz sam Słonimski, jako postać naszych czasów, jako człowiek, któremu udało się przyjąć szczęśliwy fason i osiągnąć społeczny sukces tym fasonem. Pisarze, których karjera toczy się jawnie, na oczach publiczności, sami są najważniejszymi swoimi bohaterami. Każdy inną przyjmuje formę, inną postawę, styl, fason, ton, sposób bycia w stosunku do świata, my zaś, przypatrując się z boku, możemy widzieć, które z form są nieporadne i niezręczne, a które okazują się skuteczne, przychylne, właściwe, szczęśliwe wobec życia. Oto czemu styl autora w najbardziej prywatnem, osobistem znaczeniu jest społecznie ważniejszy od stylu jego bohaterów i od abstrakcyjno - estetycznych harmonij. Albowiem rzeczywistość autora jest naszą rzeczywistością, podczas gdy rzeczywistość książki jest zawsze przyrządzona.

Wszystko to pozostaje w ścisłym związku z Nałkowską. Niedarmo jej styl jest żelaznym kapitałem jej sztuki i jednym z nielicznych towarów eksportowych literatury krajowej. Nałkowska cała jest stylem i niema różnicy pomiędzy jej stylem książkowym a życiowym. Choć powszechnie bywa określana jako intelektualistka, nie istnieją dla niej naprawdę jakiekolwiek problemy — w ostatecznem założeniu jest dla niej istotna jedynie postawa wobec problemu, jedynie wydźwięk, jaki daje problemat, stuknąwszy o jej osobę. Jest to, pomimo odmiennych pozorów, wielka egoistka, dla której cała sprawa sprowadza się do tego — jak uratować własne człowieczeństwo z sideł cywilizacji spółczesnej. Z jakąż bystrością ta dama umyślnie wyszukuje sobie kwestje co potworniejsze i straszliwsze, żeby z piekielną elegancją i z dziką wytwornością je potraktować.

Przy czytaniu „Granicy“ to najbardziej uderza — treść ponura i beznadziejna, w treści panuje tam krańcowy, amoralny relatywizm i wielkie nagromadzenie męczących sprzeczności.

Niema w tej treści żadnego konkretnego ideału, żadnego określonego moralnego systemu, żadnej hierarchji wartości. Natomiast beznadziejnej treści przyświeca forma przedziwnie ustalona, spokojna, harmonijna, gładka, wytworna, szlachetna, w formie odnajdujemy hierarchje, których napróżno poszukiwalibyśmy w treści.

I kiedy czyta się w prasie, że Nałkowska poruszyła w swojej książce problemat i że chciała to a to „powiedzieć“ na temat problematu, trudno nie stwierdzić, że nie jest ona tak naiwna. Nałkowska nie ma nic do powiedzenia na temat problematu, wystarczy jej poprostu — wypowiedzieć problemat. Zamknąwszy go w swoim stylu, jak w klatce, nie potrzebuje już troszczyć się o to, że problemat, merytorycznie niezałatwiony, syczy i kłapie zębami. Dla niej — nie może on już być szkodliwy.

Nam, którzy przyzwyczajeni jesteśmy zabijać problematy konkretnemi hasłami i strzelamy do kwestji socjalnego wyzysku z pukawki komunistycznej naprzykład, albo z flinty miłości bliźniego, nam ta metoda stylu Nałkowskiej może wydać się wielce niewłaściwa. Jakże — bez haseł, bez ideałów, bez ideologji? Ze stylem tylko? Otóż to jest właśnie wspaniała robota, to jest prawdziwy humanitaryzm. Bo zważmy, że neutralizowanie problemów za pomocą haseł dzieje się jakgdyby poza człowiekiem, nalepiamy plasterek ideału na ropiejącą ranę życia i koniec na tem. A jedyna istotna postawa zawiera się w stylu. I może być ktoś, rozporządzający bardzo bogatą kolekcją plasterków, a drugi nie będzie miał nic poza stylem i ten drugi będzie zawsze lepszy. Dziś, wobec nadprodukcji haseł, wobec bankructwa haseł, wobec niezwykłego strywializowania ideologicznego, instytut piękności Nałkowskiej, bez kosmetyków, bez aparatów, jest chyba jedynym racjonalnym systemem pielęgnacji kultury — w dobie zamętu.

Na czem polega styl, prowadzący do tych rezultatów? Poprostu chyba polega na uporczywem, konsekwentnem nastawieniu na własny stan posiadania — na umiejętności przerabiania cudzej głupoty na własną mądrość i cudzego ubóstwa na własne bogactwo. Czytając zdania Nałkowskiej, wyczuwa się, że niema siły ziemskiej ani ponadziemskiej, któraby zmusiła ją do zejścia poniżej swego poziomu. Głupotę stara się ujmować jaknajmądrzej, podłość — jaknajszlachetniej i w ten sposób ciągnie osobiste zyski z głupoty i z podłości. Jest ona wielką wyzyskiwaczką uciśnionych. W czasach głupoty powszechnej takie pilne przestrzeganie siebie samego może być poczytane nawet za zbrodnię. Myślę, że jest to raczej przejaw potężnego instynktu człowieka — instynktu kultury. I gdy wszyscy pogrążą się w otchłań głupoty i nędzy, Nałkowska będzie coraz bogatsza, coraz mądrzejsza, coraz lepsza i w niej jednej zachowa się znicz ludzkości dla wieków przyszłych, amen.

Gdybym miał sprecyzować w dwóch słowach odrębność Nałkowskiej, powiedziałbym, że ona usiłuje być humanitarna w formie, gdy inni pisarze chcą być humanitarni w treści. Owóż Nałkowska wygrywa w konfrontacji z życiem. Podglądajmy i uczmy się.

NIKT Z NAS NIE BYŁ W ABISYNJI

A każdy interesuje się tym krajem, każdy chciałby się o nim dowiedzieć jak najwięcej.

PREMJUM „ŚWIATA“

za styczeń stanowi ciekawy reportaż oryginalny z Abisynji znakomitego dziennikarza angielskiego L. FARAGO pod tyt.:

ABISYNJA NA WIDOWNI

Tę sensacyjną książkę rozsyłamy naszym prenumeratorom jednocześnie z bieżącym numerem „Świata“.

P. K. O. W ROKU 1935

Dnia 20 stycznia odbyła się w gmachu P. K. O. w Warszawie konferencja prasowa, na której prezes P. K. O. p. dr. Henryk Gruber poinformował licznie zebranych dziennikarzy o działalności P. K. O. w r. ub.

Rok 1935 zamyka P. K. O. znacznym rozwojem wszystkich działów swej pracy.

W dziale oszczędnościowym — suma wkładów zwiększyła się o 58,1 miljn. zł. i osiągnęła na koniec roku 679,3 miljn. zł., liczba książeczek zaś wzrosła o przeszło 417 tys. i wyniosła na dz. 31 grudnia 1935 r. około 1.900.000 książeczek. W ciągu r. 1935 P. K. O. wydawała przeciętnie dziennie 1600 nowych książeczek. 3 tygodnie r. b. wykazują dalszy bardzo pomyślny rozwój działu oszczędnościowego w P. K. O. O szybkim wzroście oszczędnictwa w P. K. O. świadczy fakt, że w okresie od 1928 r. do 1935 r. zarówno suma wkładów, jak i liczba książeczek wzrosły przeszło dziesięciokrotnie, a mianowicie: wkłady oszczędnościowe wzrosły z 67,6 do 679,3 miljn. zł., liczba książeczek zaś — z 180.000 do 1.900.000. O rezultatach akcji oszczędnościowej P. K. O. świadczy również to, że gdy 8 lat temu jedna książeczka oszczędnościowa przypadała na 200 mieszkańców, to dziś przypada już na 17 mieszkańców. Dużem powodzeniem cieszy się wydana w kwietniu 1935 r. III serja książeczek premjowanych, z której to serji do końca r. 1935 P. K. O. wydała 51.208 książeczek.

Doceniając znaczenie wychowawcze propagowania idei oszczędności wśród młodzieży szkolnej, P. K. O. organizowała nadal szkolne kasy oszczędności, dostarczając im potrzebne materjały. Ilość szkolnych kas oszczędności, opartych o P. K. O., wzrosła do 8.000, liczących około miljona członków.

Znaczny rozwój wykazuje także dział czekowy. Ogólny obrót czekowy wyniósł w 1935 r. przeszło 27,5 miljarda zł., co stanowi nowy rekord. W porównaniu z r. 1934 ogólny obrót czekowy wzrósł o 243 miljony zł., liczba zaś kont czekowych zwiększyła się o 1.739, osiągając na koniec 1935 r. liczbę 76.501 kont. Stan wkładów na tych kontach wynosił w dn. 31.XII. 1935 r. 202,4 miljn. zł. Z ogólnej sumy obrotu czekowego 27,5 miljardów zł. na obrót bezgotówkowy przypada 21 miljardów zł., na obrót gotówkowy zaś — 6,5 miljardów zł.

Dział ubezpieczeń na życie wykazuje przyrost polis netto 28.000 i kwoty ubezpieczenia o 32,2 miljony zł. Od początku istnienia, t. j. od połowy 1928 r., dział ubezpieczeń osiągnął liczbę 119.000 czynnych polis na łączną kwotę ubezpieczenia 178,7 miljn. zł. Liczby powyższe stwierdzają, że i ten dział pracy P. K. O. rozwija się bardzo pomyślnie. Dział ubezpieczeń na życie P. K. O. zajmuje w chwili obecnej przodujące stanowisko.

Prowadzona przez P. K. O. akcja kredytowa obejmuje: zakup papierów wartościowych, pożyczki na zastaw papierów wartościowych, skup weksli i akceptów, pożyczki wekslowe, hipoteczne i na zastaw polis oraz lokaty w nieruchomościach. Zakup papierów wartościowych stanowi najważniejszy dział operacji kredytowych P. K. O. Ogólny stan portfelu wymienionych papierów wynosi na dz. 31.XII, 1935 r., łącznie z portfelem działu ubezpieczeń, sumę 670 miljonów zł., a więc zwiększył się w roku sprawozdawczym o 43,6 miljonów zł. Na papiery, emitowane przez państwo i instytucje kredytu długoterminowego, na cele gospodarcze, przypada 578 miljonów zł., czyli 86,3 proc., z których wpływy poszły na inwestycje. Na papiery państwowe o charakterze skarbowym, względnie budżetowym, przypada 92 miljony zł., czyli 13,7 proc. Spośród kredytów, udzielonych w roku sprawozdawczym, na specjalne podkreślenie zasługuje kredyt w kwocie 5 miljn. zł. na drobne budownictwo mieszkaniowe, 7,2 miljn. zł. na cele inwestycyjne m. st. Warszawy, zakup obligacji 5 proc. pożyczki budowlanej i 6 proc. pożyczki inwestycyjnej na łączną sumę ok. 40 miljonów zł. oraz szereg niemniej ważnych kredytów na różne inne cele.

Kredyty bezpośrednie krótkoterminowe wyniosły na koniec 1935 r. łącznie 37,6 miljn. zł., a więc wzrosły o 3 miljony zł. w stosunku do stanu z końca 1934 r. Z ogólnej sumy 37,6 miljn. zł. kredytów bezpośrednich na pożyczki na zastaw papierów wartościowych przypada 14,1 miljn. zł., na skup weksli 10,6 miljn. zł. Na znaczny stosunkowo wzrost sumy skupu weksli wpłynęła obniżona w 1934 r. stopa dyskontowa do 4 i pół proc., która jest niższa o pół proc. od stopy dyskontowej Banku Polskiego. Uwzględniając wartość bilansową nieruchomości P. K. O. i dział ubezpieczeń na życie w sumie 44,5 miljn. zł., łączna kwota wszystkich lokat P. K. O. wynosiła na koniec 1935 r. 752,2 miljn. zł. i wzrosła w ciągu okresu sprawozdawczego o 47,2 miljn. zł. P. K. O. przystąpiła do budowy wielkiego gmachu w Poznaniu. Planowana jest również budowa gmachów w Katowicach, Wilnie i Lwowie.

Dział inkasa weksli przyjął 351 tys. weksli na łączną sumę 62,7 miljn. zł. W porównaniu z 1934 r. ilość weksli przyjętych do inkasa wzrosła o 38 tys. szt.

Środki obrotowe pierwszego stopnia płynności utrzymywane były stale na wysokim poziomie i wynosiły przeciętnie w ciągu roku ok. 27 proc. ogólnej sumy powierzonych P. K. O. kapitałów. Należy również podkreślić ważny w rozwoju instytucji fakt, że w 1935 r. po raz pierwszy suma bilansowa P. K. O. przekroczyła sumę miljarda zł.

Rok sprawozdawczy zamyka P. K. O. nadwyżką bilansową w sumie 5,862,436,10, dział ubezpieczeń na życie zaś nadwyżką zł. 1,701,552,30, łączna więc nadwyżka bilansowa wyniosła złotych 7,563,958,40.

Zorganizowany przez P. K. O. Bank Polska Kasa Opieki, posiadający oprócz centrali w Warszawie — główne oddziały w Paryżu, Buenos Aires, Tel-Awiw oraz Wydział Przekazowy przy Linji Gdynia Ameryka w Nowym Jorku, wykazuje w roku sprawozdawczym dalszy bardzo znaczny rozwój. Ogólna suma wkładów, zgromadzonych we wszystkich placówkach zagranicznych Banku, w przeliczeniu na złote, wzrosła w 1935 r. o 18,773 tys. zł. i wynosiła na koniec okresu sprawozdawczego 36.272 tys. zł., czyli wkłady wzrosły o przeszło 100 proc. Ogólny obrót przekazowy Banku wyniósł przeszło 800 miljn. zł. Wszystkie inne operacje Banku P. K. O. wzrosły również bardzo znacznie.

Po zakończeniu przemówienia p. prezes dr. Gruber udzielał odpowiedzi na postawione mu przez dziennikarzy zapytania. Przy tej okazji p. prezes Gruber oświadczył, że P. K. O. montuje cały aparat organizacyjny oddziału obrotu czekowego w Łodzi i wyraził nadzieję, że uda się puścić go w ruch już w roku bieżącym.

ZOFJA NORBLIN-CHRZANOWSKA.

Z WYSTAW W „ZACHĘCIE"

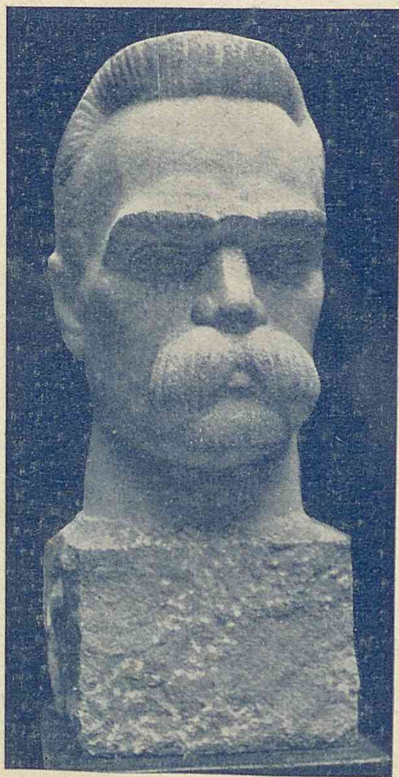
Salę „honorową" w „Zachęcie" oddano nadesłanym na konkurs portretom Marszałka — niewątpliwie przez pietyzm dla portretowanego, nie zaś ze względów artystycznych. Trzeba bowiem powiedzieć bez ogródek, że poziom prac konkursowych jest niezmiernie niski — i że większość ich nie zasługiwała wogóle na wystawienie w salonach „Zachęty". Należało więc raczej prac konkursowych nie wystawiać wcale, aby nie ujawniać wobec szerokiej publiczności — i całego świata — tej smutnej prawdy, że artyści nasi nie zdobyli się w tym konkursie na żaden poważniejszy wysiłek i dali rzeczy bardzo mierne, a niejednokrotnie wręcz groteskowe.

Wielkich rozmiarów bohomaz, nadesłany pod godłem „Metafizyka", przedstawia jakąś teatralną hecę w świetle reflektorów kulis: Marszałek z buławą w ręku stoi w pozie sztucznie wykrygowanej, a w tle widać szeregi maszerującego wojska. Całość — kontrastuje swym kabotynizmem w sposób niedopuszczalny z istotną wielkością i najwyższą prostotą Piłsudskiego.



S. Norblin. Portret Marszałka. Wystawiony poza konkursem).

I NAGRODA



A. Karny. Portret Marszałka (granit).

Inne „dzieło" — malowane w stylu japońskich parawanów, przedstawia na tle zapaćkanem srebrną farbą postać Marszałka, potraktowaną napół realistycznie (głowa), napół syntetycznie (cała postać). Marszałkowi na jednem ramieniu siedzi olbrzymia sowa, a przed oczami fruwa mu gołąbek. Co ma wyrażać cała ta zoologja — naprawdę niewiadomo. Myślowy bezsens, techniczny galimatjas i karygodny brak taktu, pozwalający postać historyczną umieszczać na parawanie — oto cechy tego „dzieła", wystawionego pod godłem „H.".

Stwierdzić należy z przykrością, że wielki i jakże wspaniale nadający się do artystycznych rozwiązań temat — portret Marszałka — został przez większość uczestników konkursu zaprzepaszczony w sposób dziki. Jeden dobry rysunek, jedna zupełnie niezła rzeźba — oto i wszystko.

W smętnej tej gromadzie, jeżeli już trzeba było przyznać nagrodę, słusznie ją dano Karnemu. Jego wielkich rozmiarów głowa Marszałka w granicie jest wyrazem dążenia do portretu o cechach monumentalnych. Artysta pominął szczegóły, charakter głowy oddał w formach uproszczonych i choć z en face rzeźba Karnego nie oddaje szlachetności rysów Marszałka i marsowości wyrazu — (twarz wydaje się nieco rozlana, zarys nosa za miękki, wąs przesadnie bombiasty) — to jednak widziana z trois-quarts głowa nabiera charakteru.

Poza konkursem nadesłało portrety Marszałka na wystawę kilku znanych artystów. Wśród nich mówić warto tylko o portretach Norblina: są naprawdę żywe, podobne, poważne bez sztywności i trafnie ujęte psychologicznie.

* * *

Wystawa grupy grafików „Czerń i biel" jest pierwszym występem nowego zespołu. Młodym artystom patronuje wielkie nazwisko mistrza Wyczółkowskiego, a prezesem jest znany



B. Frydrysiak — Główka dziecka. (suchoryt)



W. Sołtan — Pejzaż zimowy (litografja).

grafik, Tadeusz Cieślewski junior, który w sposób serdecznie koleżeński skreślił w katalogu „Słowo powitania" dla młodego zespołu. „Czerń i biel" grupuje kilku artystów, których prace jeszcze niedawno oglądaliśmy na dorocznych wystawach szkolnych Akademji. Obecnie Fijałkowska, Frydrysiak, Kłopocka, Sołtan i Zylberberg złączyli się w zespół raczej jako rówieśnicy, niż jako przedstawiciele pewnego określonego kierunku. Każdy z nich zachowuje bardzo wyraźnie swoją indywidualność — do tego stopnia, że nawet nie możnaby przypuszczać, iż wyszli z jednej szkoły. (Jest to, zdaje mi się, najwyższa pochwała, jaką wyrazić można kierownictwu uczelni artystycznej).

Młodzi artyści, wystawiający dziś razem, i pod względem uprawianej techniki nie mają jednolitych zamiłowań: Frydrysiak stosuje wykwintną i trudną sztukę suchorytu, Sołtan — litografję, a Kłopocka, Fijałkowska i Zylberberg — drzeworyt. Daje to w rezultacie niezmiernie przyjemną rozmaitość wystawie, która urządzona jest wzorowo, z wielką pieczołowitością o estetyczną całość.

Trudno jest w sprawozdaniu z wystawy sztuki, gdzie jedynem właściwie kryterjum jest doznana emocja — zachować tak zwaną objektywność. Jednemu można przyznać więcej zasług — a mimo to drugi przemówi do nas silniej. Każdy widz inaczej reaguje — o ile wogóle zdolny jest do reagowania na sztukę — a recenzent jest przecież także tylko widzem.

Najbardziej przemawiają do mnie prace Frydrysiaka. Może dlatego, że cała niemal młoda grafika polska — ta, która poczęła się pod opiekuńczem skrzydłem mistrza Skoczylasa — poszła raczej ku drzeworytowi. Inne techniki graficzne zostały na czas jakiś jakby usunięte w cień. Frydrysiak swemi nerwowemi, pełnemi charakteru suchorytami dowiódł, że technika ta doskonale nadaje się dla artysty nowoczesnego. Interesuje go przedewszystkiem człowiek, a ściślej mówiąc — studjum portretowe. Frydrysiak rysuje pewnie, uprawia pewien rodzaj uproszczeń, zbliżony do sztuki japońskiej: stylizuje bardzo zlekka, studja jego są raczej realistyczne, potraktowane linearnie. Najdojrzalszą pracą jest może „Głowa robotnika", mocna, pozornie prosta w technice: ale trzeba wiedzieć, że taką prostotę osiąga tylko bardzo pewny swych możliwości rysownik.

Kłopocka uprawia drzeworyt w formie najbardziej charakterystycznej, zbliżonej do prymitywnej techniki cięć drzeworytów ludowych. Artystkę interesuje przedewszystkiem kompozycja — a postacie ludzkie, któremi operuje, są dla niej jedynie pewnemi wyrazami rytmu i ruchu. Drzeworyt „W procesji", doskonale zrównoważony kompozycyjnie, jest może najlepszą pracą tej artystki.

Fijałkowska niebardzo trafia mi do przekonania. Rysuje poprawnie, wykańcza swe drzeworyty drobniutko, nadając im pozory prawie akwaforty, przez co zatracają trochę swój wyraz, tak bardzo dla drzeworytu charakterystyczny. Realizm artystki narazie jeszcze lubuje się osiągnięciami technicznemi, bez tego pogłębienia duchowego, które jest istotną twórczością, i które jedynie zdolne jest wywołać w patrzącym entuzjastyczny stosunek do danej sztuki. Dla porównania — nie skali talentów, ani skali umiejętności, bo to byłoby

dla młodej artystki za trudne — ale skali tego właśnie *wewnętrznego entuzjazmu*, spojrzyjmy na jedyną na tej wystawie pracę wielkiego mistrza Wyczółkowskiego: litografja „Kwitnąca grusza“ jest czystą poezją. Lekkość kwiecia, przejrzystość światła, czar nieopisany tego motywu tak prostego — dają miarę nietylko mistrzostwa artysty: świadczą jeszcze o tem stałem oszołomieniu pięknem przyrody, które cechuje od lat sztukę Wyczółkowskiego. Otóż tego upojenia nie wyczuwa się wcale w pracach Fijałkowskiej. Czy przyjdzie ono z czasem — trudno przewidzieć.

Więcej pod tym względem osiągnął Sołtan w swych litografjach. Jest to rozmiłowany w powabach natury impresjonista: zajmuje go przedewszystkiem pejzaż — drzewo, chmury, morze, pewne w pejzażu nastroje i oświetlenia. Prace jego są technicznie bardzo dobre, zarzucićby im można tylko pewien brak wyraźnej indywidualności: nie mają własnego stylu — takby mogły wyglądać litografje artystów i z przed lat dwudziestu pięciu.

Wyraźną natomiast indywidualnością jest Zylberberg. Uprawia drzeworyt realistyczny, rysuje przytem tak plastycznie, jakby rzeźbił — czarno, ciężko i pracowicie, ale niesłychanie sugestywnie. Ma już własne oblicze, ma swój styl. Dał bardzo dobre niektóre głowy, wśród nich może najlepsza głowa starej strapionej żydówki. Osobiście najbardziej mi się podoba mały drzeworyt „Piaskarze“, mniej realistyczny od innych i odznaczający się świetnym rytmem kompozycji.

Naogół prace nowej grupy stanowią bardzo interesujące pozycje w grafice polskiej i są niewątpliwą zapowiedzią, że świetna plejada polskich grafików, którzy wyszli ze szkoły Skoczylasa, znajdzie godnych kontynuatorów.

L. BUYNO

KRÓL JERZY V W LITERATURZE

W chwili, kiedy Anglja okryła się żałobą z powodu śmierci króla Jerzego V-go, warto przypomnieć dzieła ostatnich czasów, w których osoba dostojnego zmarłego była szeroko omawiana.

Rok ubiegły przyniósł, z okazji jubileuszu królewskiego, kilka książek, które zdążyły już zająć poważne miejsca w literaturze.

O panowaniu króla Jerzego traktują przedewszystkiem Sommervell'a *„Panowanie króla Jerzego V“* i *„The King's Grace“ („Królewska Łaskawość“)* John'a Buchan'a. Książka Sommervell'a jest ważnym dokumentem i podaje dokładny do najdrobniejszych szczegółów, a zarazem utrzymany w tonie objektywnym opis rządów króla Jerzego. Książka Buchan'a, jak sam autor podkreśla, nie jest biografją króla, lecz „próbą dostarczenia pewnej interpretacji i obrazu jego panowania, gdzie Tron jest jedyną rzeczą ciągłą poprzez epokę bezprzykładnych zmian“. *„Król jest obecnie o wiele bardziej królem ludu, niż wówczas gdy Edward lub Henryk powracali z triumfem z wojen francuskich“... ...Powaga godności królewskiej się nie zmniejszyła, tylko przywiązanie przyłączyło się do szacunku“.*

Treść tej książki doskonale uwypukla znaczenie instytucji monarchji, wzmocnione jeszcze przez osobiste walory charakteru króla Jerzego V-go: „Przyodział on ceremonjał w blask przyjacielskiej zażyłości“.

Książka przedrukowuje słowa, jakie wypowiedział król Jerzy do swego imperjum, wstając z łoża po ciężkiej chorobie w zimie 1928/29 r. Orędzie to najlepiej charakteryzuje jego stosunek do poddanych.

„...Niesposób opisać, jak bardzo dodawało mi odwagi odkrycie, że spełniło się moje nieustanne gorące pragnienie — pragnienie zdobycia zaufania i miłości mego ludu. Myśli me niosą mnie nawet dalej jeszcze. Nie mogę zatrzymywać się nad objawami szlachetnego współczucia, dostarczonemi mi przez nieznanych przyjaciół w wielu innych krajach bez nowej a wzruszającej nadziei. Marzę o tem, aby móc uwierzyć, że doświadczenia podobne do mojego przestaną wkrótce być wyjątkami; kiedy narodowe troski wszystkich ludów świata będą odczuwane jako wspólne źródło ludzkiego współczucia i wspólny węzeł ludzkiej przyjaźni“.

Jeśli oprócz wymienionych prac przejrzymy numery wszelakich czasopism, wydane nietylko teraz, ale i z racji zeszłorocznego jubileuszu, wszędzie znajdziemy prawie te same słowa, wszędzie podkreślone są te same cechy tej niezwykle sympatycznej postaci.

Król Jerzy V posiadał tę doskonałość dobrych manjer, która polega na wielkiej sztuce wywoływania swobodnego samopoczucia każdego, z kim rozmawiał. Pomagała mu w tem ogromna wrodzona wesołość, rozpromieniająca tak często jego oblicze szczerym, niebywale prostym uśmiechem. Z rozrywek król nie lubił kart w przeciwieństwie do swego ojca, wolał bilard, ale nadewszystko przekładał przyjemność prawdziwej inteligent-

Królowa Mody na rok 1936 używa wyłącznie kosmetyków Eloe-Boryszew



nej rozmowy, umiejętności, która tak bardzo w w. XX upadła. Chociaż nie brał tak gorliwego udziału w wyścigach, jak Edward VII, bardzo lubił konie i miewał czasem nader szczęśliwe posunięcia na torze. Odznaczał się ogromnem zamiłowaniem do psów, co mu tembardziej zjednywało serca tego narodu, tak lubiącego zwierzęta. (Zamiłowanie to, coprawda, mógł odziedziczyć po swej matce, królowej Alexandrze, której pozwolił do śmierci zajmować się psiarnią królewską. Psiarnia ta znajduje się właśnie w Sandringham. Posiadłość króla Sandringham, gdzie tak lubił prowadzić życie ziemianina, znajduje się w hrabstwie Norfolk, blisko Wolferton, i ma około 7.000 akrów. Nabył ją w r. 1861 król Edward VII, jeszcze jako książę Walji).

Jesień król Jerzy spędzał zazwyczaj w Szkocji, w rezydencji Balmoral Castle. (Posiadłość liczy około 11.000 akrów, kupił ją Książę Małżonek w r. 1852; była to ulubiona rezydencja królowej Wiktorji). Król Jerzy nosił tam zawsze strój szkocki. Był on pułkownikiem dwóch pułków szkockich, jak również admirałem floty, po przejściu wszystkich stopni służby w marynarce.

Przemawiając przez radjo na Boże Narodzenie 1934 r., Jerzy V określił samego siebie, jako — w pewnym istotnym sensie — głowę wielkiej i rozległej rodziny. I słusznie: stosunek jego do jego ludu był rzeczywiście bliższy i bardziej intymny, niż ten, który normalnie łączy monarchę z poddanymi. Nie było dotychczas króla, któryby tak bezpośrednio i tak często stykał się ze swym ludem; nic w tem dziwnego, bo oto jego własne słowa: „Podstawy chwały narodu spoczywają w domach *(homes)* ludu“. Serce króla przepełniało, jak powiedział Michael Macdonagh (The Illustrated London News, May 4, 1935): „współczucia pełne zrozumienie dla życia i pracy swego ludu i niestrudzone pragnienie poprawy jego bytu. Oto, co mu zjednało tę niesłychaną popularność, która krępowała jego wolność osobistą, bo nigdyby mu np. nie pozwoliła wyjść pieszo na ulicę.

Rolę Jerzego V-go bodaj najlepiej scharakteryzował Basil Maine, autor książki o księciu Walji, mówiąc o królu: „...Przykład jego miał zawsze wpływ umacniający, rada jego była zawsze rozumna. Niema człowieka, któryby uczynił więcej, aby dopomóc Anglji w przetrwaniu całego szeregu kryzysów, które uczyniły z ostatnich lat dwudziestu pięciu najcięższą próbę w jej historji“.



NIE NARAŻAJCIE CERY

na szkodliwe działanie niepewnych preparatów kosmetycznych. Zatykają one pory, szkodzą cerze, powodują zatrucia skóry. Odżywczy krem Abarid, przygotowany na wyciągu lilji białej i miodzie, głęboko przenika do tkanek, rozpoczynając stamtąd swe zbawienne działanie, wygładzając zmarszczki, rysy, t. zw. worki pod oczami, chroniąc skórę twarzy od pękania, łuszczenia się, rozszerzenia porów i t. p. Krem Abarid nie daje chwilowej, lecz trwałą poprawę cery.

KREM ABARID
PRZECIW ZMARSZCZKOM

WYCIECZKA AKADEMICKA NA OLIMPJADĘ ZIMOWĄ

Nasi narciarze i hockeyiści wyjechali już na Olimpjadę do Garmisch-Partenkirchen. Olimpjada organizowana jest z niebywałym rozmachem, Niemcy dokładają wszelkich starań, aby wypadła wspaniale. Najlepsi zawodnicy świata przybyli już do Garmisch, żeby trenować na olimpijskim terenie. Organizowane na tak olbrzymią skalę zawody sportowe wzbudzają zainteresowanie przedewszystkiem wśród młodzieży. Polscy studenci wybierają się do Garmisch-Partenkirchen z wycieczką, którą organizuje Orbis i Polski Akademicki Związek Zbliżenia Międzynarodowego „Liga“ w czasie od 7-go do 18-go lutego (cena od 231.— zł.). Wycieczka zwiedzi po drodze Drezno i Monachjum.

Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „BALSAM TRIKOLAN AGE“ (dawniejsza nazwa „Balsam Thiocolan Age“), który, ułatwiając wydzielanie się plwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego. Sprzedają apteki.

Nasza wizyta w salonie „Eryka“

Salon Eryka to w Warszawie najpiękniejszy zakład fryzjerski dla pań. Na wstępie uderza nas nadzwyczajna czystość i elegancja. Nowoczesne aparaty, meble i poczekalnia czynią ten zakład europejskim. Nic też dziwnego, że panie chętnie odwiedzają Salon Eryka, bo poza temi wszystkiemi warunkami każda pani wychodzi zeń ze ślicznie i twarzowo uczesaną główką. Czekanie także nie wydaje się uciążliwem, bo umila je muzyka nadawana przez radjo lub adapter elektryczny, specjalnie zainstalowany w poczekalni.

Nowemu zakładowi wróżyć można wielkie powodzenie wśród wytwornych pań stolicy.

Fabryka Trykotaży
Jan Matuszewski
102 Marszałkowska 154
33 Chmielna 40 Nowy Świat

Wytworne krawiectwo męskie
H. LIPSZYC
Gmach Opery — Pod Filarami

PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN“
Kogutek
ZASTOSOWANIE:
BÓLE GŁOWY i ZĘBÓW, GRYPA, PRZEZIĘBIENIE i t. p.
Sprzedają apteki. Sprzedają apteki.

UCZESTNICY RALLYE MONTE-CARLO W WARSZAWIE

25 stycznia wczesnym rankiem nastąpił z 9 krańców Europy start do dorocznego zjazdu automobilowego do Monte Carlo. Przez Polskę prowadziła trasa z Tallina. Przejeżdżające przez Warszawę dn. 26 stycznia maszyny wzbudziły wielkie zainteresowanie wśród zgromadzonych tłumów w Al. Szucha.



Major Marjan Gaweł, jedyny polski uczestnik tegorocznego Rallye Monte Carlo, jedzie na wozie Polski Fiat.



Na punkcie kontrolnym przed Automobil-klubem w Warszawie.



Podpisywanie meldunków odbywało się szybko, sprawnie, dokładnie — i wesoło.

Zdjęcia Jan Ryś.

POLSKI FIAT W GDYNI



W tych dniach otwarta została w Gdyni przy ul. Świętojańskiej 110, nowa placówka Polskiego Fiata. Nocne zdjęcie tych wspaniałych zakładów przedstawia podana fotografja. Nowa placówka Polskiego Fiata, połączona z biurem sprzedaży, warsztatami, składem części zamiennych i stacją obsługi, wyposażoną w nowoczesne urządzenia, będąc nowem ogniwem w organizacji Polskiego Fiata, przyczyni się niewątpliwie do przyśpieszenia i ułatwienia motoryzacji naszego wybrzeża.

O godz. 17.30 zjawia się pierwszy wóz Ford Nr. 31 z kierowcą Jawajczykiem Bakker - Schut i towarzyszem Holendrem de Beaufort. W trzy kwadranse potem nadjeżdża, jako drugi, Ford Nr. 50 z obsadą pań Marinowitch i HelleNice. O 18.45 wśród oklasków zajeżdża mjr. Gaweł na „Polskim Fiacie".

Polski zawodnik jest w doskonałej formie i wyraża dużo pochwał pod adresem swej maszyny, małego Fiata 508.

Punkt kontrolny w Automobilklubie zorganizowany był doskonale, wozy znalazły fachową opiekę mechaników, a zawodnicy — wygodny wypoczynek w przygotowanych pokojach gościnnych. Korzystali zresztą z wypoczynku zaledwie około 2 godz. Z 27-miu maszyn, które wyruszyły z Tallina, trzy odpadły w drodze do Warszawy. Reszta wyruszyła z Warszawy o 10 wieczorem, kierując się via Berlin, Brukselę, Paryż, do Monte Carlo.

MISTRZYNIE ŁYŻEW TRENUJĄ



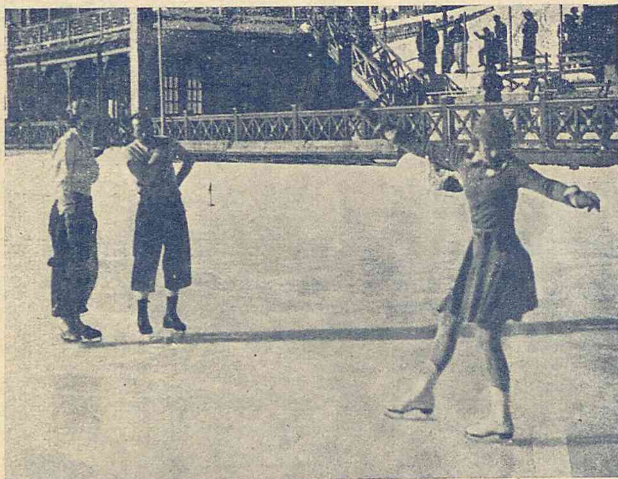
M. Taylor, mistrzyni Anglii



Maxie Herber i Ernst Baier, mistrzowska para Niemiec, studjuje własne ślady na lodzie.



Sonja Henie, mistrzyni świata, (z prawej), i jej groźna konkurentka, Vivi-Anne Hulthen — są wielkiemi przyjaciółkami.



Sonja Henie na lodowisku w St. Moritz, pilnie przygotowuje się do olimpjady w Garmisch-Partenkirchen.



M-me Clericetti, łyżwiarka francuska, w Palais des Sports w Paryżu (sztuczne lodowisko).



Maxie Herber i Ernst Baier w St.-Moritz podczas jednej z najefektowniejszych ewolucyj.

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta" której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

W ogródku tym w roku 1926-ym kwitły szeregiem wiśnie. W sąsiedniej izbie, przestronnej, z belkowanym sufitem, mieszkali rodzice. A w tej willi, która bieleje po drugiej stronie potoku, szalał z trzema kolegami Jurek Lipowski. Jurek — student paryskiej Sorbony.

Trzeba zamknąć okno na haczyki, zgasić lampę i spotkanej w sionce gospodyni oznajmić, że wychodzi się na półgodzinny spacer. Którędy iść będzie? Tą ścieżką nad potokiem, potem kładką na drugą stronę.

Ścieżka jest chropawa od zaschłej na słońcu gliny. Dziewięć lat temu, kiedy wracali z Jurkiem z dancingu, była zupełnie rozmokła i oślizgła od deszczu. Marta pamięta, że zupełnie zniszczyła sobie pantofle i miała z matką o to na drugi dzień awanturę.

— „Tyle pieniędzy wydałam na to, żebyś ty się z niemi uwinęła w przeciągu jednego wieczora! Nie myśl, że pieniądze znajdujemy z ojcem na ulicy".

I tak dalej.

Ale dla niej zniszczenie tych pantofli nie miało wtedy najmniejszego znaczenia. Było nieważne. Jurek prowadził ją wtedy mocno pod rękę i to było najważniejsze. Miał ramię ciepłe i muskularne. I miał oddech szybki i niepokojący. Nie mówili wtedy do siebie nic i nie pocałowali się.

Dzieciaki...

Czy miało to co wspólnego z miłością? Czy raczej z czarem budzących się zmysłów?

Marta przechodzi przez kładkę, oświetloną plamami światła. To księżyc wdziera się między konary i liście drzew. Woda po kamieniach płynie zupełnie tak samo szumiąc, jak przed laty. I tak samo zupełnie pachną sosny po tamtej stronie stojące, wilgotne od nocnej rosy i chropawe od spękanej kory. Pod podeszwą pantofli miękko ścielą się mchy, plączą się wrzosy, wystają korzenie i opadłe szyszki. Tutaj gdzieś musi być ta jodła, na której Jurek naiwnie wyciął scyzorykiem rok 1926-y.

Nie. Przemoczyła pantofle i nie będzie szukała tej jodły. Nie chce mieć kataru. Wraca więc do łóżka, którego siennik napchany jest słomą szeleszczącą, niegościnną i obcą. Muchy... Są muchy w tej izbie. Muchy brzęczące, natrętne, napastliwe i rojne. Trzeba będzie kupić lepki plaster i zawiesić go u sufitu!

*

Marta ma dzisiaj na sobie płócienną suknię i wielki malarsko wygięty kapelusz na głowie. Idzie malować na słońcu, nad Wisłą, w cieniu drzew. Gospodyni pani Pudełkowa uśmiecha się do niej z uznaniem. Wiadomo, co malarka, to malarka! Tu, w Kazimierzu to ma znaczenie!

Więc na sznurach rozwiesza bieliznę i uśmiecha się. Pamięta ją młodą panieneczką, taką, co to prosto po ukończeniu szkół zjechała na wakacje do Kazimierza. Już wtedy próbowała tego malowania i chodziła z paniczem, co mieszkał u Robowskich naprzeciwko! Ten panicz w kilka lat potem był tu jeszcze i pytał się o panienkę. Bardzo się zmienił! Przyszedł do pani Pudełkowej z profesorem Hań-

KLEINOL
HENNA SHAMPOO
SIMPLEX
KLEINOL
JEDYNA FARBA DO WŁOSÓW, KTÓRA
FARBUJE, MYJE i UPIĘKSZA
każde włosy
PROSPEKTY WYSYŁA i WYJAŚNIEŃ UDZIELA
LABORATORJUM „KLEINOL" wł. HENRYK WIENER
GDAŃSK, AM JAKOBSTOR 3-4, TEL. 261-71

„GAZETA POLSKA"
rozpoczęła druk powieści **Johna Galsworthy**
p. t. **„ZA RZEKĄ"**
w przekładzie **MARJI GODLEWSKIEJ**

Znakomita powieść świetnego pisarza angielskiego, laureata nagrody Nobla, autora głośnej „Sagi Forsytów", wprowadza czytelników w dobrze znany świat tej epopei i zapoznaje ich z dalszemi dziejami szeregu postaci, które czytająca publiczność przechowuje w żywej i niesłabnącej pamięci.

Odcinek powieściowy „Gazety Polskiej", w którym ukazały się dotychczas tak świetne utwory, jak **„Dola człowiecza"** Malraux, **„W młodych oczach"** Choynowskiego, **„Dziewczęta z Nowolipek"** Gojawiczyńskiej i in., wzbogaci się pozatem w roku bieżącym o

nowe powieści Ferdynanda Goetla i Poli Gojawiczyńskiej

DBAJCIE O SWOJE ZDROWIE!
„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA" SĄ STOSOWANE PRZY KAMIENIACH ŻÓŁCIOWYCH I SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA.—„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA" SĄ NATURALNYM, ŁAGODNYM ŚRODKIEM PRZECZYSZCZAJĄCYM, UŁATWIAJĄCYM FUNKCJE ORGANÓW TRAWIENIA, STOSOWANYM RÓWNIEŻ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI.

czą i z innymi sławnymi malarzami. Podobno po świecie jeździ i sławny jest.

Tak. Marta o tem wie, że sławny jest. Ale, że się o nią pytał, to wcale o tem nie wiedziała.

Pani Pudełkowa wyjmuje z dużej miednicy wilgotne płaty prześcieradeł i rozwiesza je na sznurach kolejno po porządku. Jest tem tak zajęta, że nawet nie patrzy na pannę Tarasowicz. Chusteczki i małe sztuki bielizny przyczepia drewnianemi zaczepkami, żeby nie spadły ze sznurów, i wykrzywia się pod słońce, mrużąc oczy i marszcząc skronie.

Marta o nic więcej nie pyta i odchodzi ścieżką naprawo, myśląc o tem, że George Lipowsky za sztukę „Les combattants" dostał francuską Legję Honorową, że dramat jego „Uśmiech Marji Antoniny" grany jest od kilku miesięcy na dwóch scenach paryskich jednocześnie! I o tem jeszcze myśli, że „George Lipowsky" jest sławny! Nic dziwnego— miał zawsze usta zaciśnięte, oczy połyskliwe i w sercu dynamit! Umiał wytrwać, umiał przezwyciężać trudności umiał rozpoczynać odnowa dzieło, które rozpadało się w gruzy, czy spalało się w płomieniach krytyki...

Już nie był pod wpływem Rolland'a (co mu zarzucano początkowo). Tworzył samoistnie! Marta czytała jego sztuki w oryginale francuskim i kupiła jedną z nich w tłumaczeniu polskiem („Prometeusz Nr. 1502").

Sławny krytyk francuski stawia nazwisko Jurka narówni z nazwiskami tej miary pacyfistów, co Remarque'a, Fritz'a, von Unruch'a, Dorgéles'a i Sheriff'a!

To imponuje Marcie. To w Jurku Martę tak zachwyca, że... od lat dziewięciu nie może ona znaleźć mężczyzny do niego podobnego i jemu dorywnującego. Traci przy nim Bruno Szenker. Karleje przy nim Emil Kossacki. Zanadto atletyczny przy nim jest Rosłankiewicz. I... stary przy nim jest mistrz Chłopski.

Marta idzie wąską ścieżynką w głębi jaru, wciśniętą między obryw górski i potok i jest na siebie zła, że tak dużo myśli jeszcze o tym człowieku, o którym dawnoby warto było już zapomnieć.

Naprawo bieleje chata mistrza Chłopskiego. Gontem jest kryta, chmielem obrosła i podparta balaskami filarków u wejścia. Stara rudera zupełnie jakby przeniesiona z płócien Maksa Gierymskiego. W ogródku tuż obok inspektów stoi gospodarz. Ciekawą ma twarz. Czoło pod baskijskim beretem silnie sklepione, wystające szczęki i kanciasto zarysowane skuły policzków. Nic dziwnego, że go tak chętnie rzeźbią, malują, fotografują i karykaturują.

Chłopski widzi już Martę, poznaje ją i podchodzi szybko do przejścia w żywopłocie. Czy jej podoba się jego chałupa? Oczywiście tak. To go cieszy. Bo co tu wiele gadać, on na punkcie swojej chałupy ma bzika. Ona jest dla niego symbolem posiadania, jest szczęściem, jest radością! Marta przecież odwiedzi go i usiądzie na ławce, która stoi obok krzaków porzeczek i agrestu. Czy ona widzi te inspekty o ramach odkrytych? Jakie nadzwyczajne rosną w nich ogórki o żółtych kwiatach i podłużnym pękatym owocu! Jaka delikatna jest zieleń tej sałaty, która jaśnieje tu wesołemi kępkami! Czy ona to widzi?

A tam dalej te pomidory? Ciężkie są! Zwisają z gałązek i kładą się na ziemi zielonym owocem. A kukurydza jak to wyrosła w kity i zgrubiała w kolbach! A fasola na tykach kwitnąca biało! A słoneczniki! Mają piękne płaskie kwiaty z bronzowemi środkami i na jednym z nich siedzi gruby puszysty bąk!

Chłopski - malarz widzi w intensywnem złocie płatków, rozkołysanych wiatrem — piękno! Ale Chłopski - gospodarz widzi w tem radość własności i to może jest nawet w nim mocniejsze.

Tam pod oknami nasturcje rozszalały się i rozrosły w pożar, który pełznie i zajmuje coraz dalsze rabaty, razem z nagietkami, georginjami i „inszemi kwiatkami".

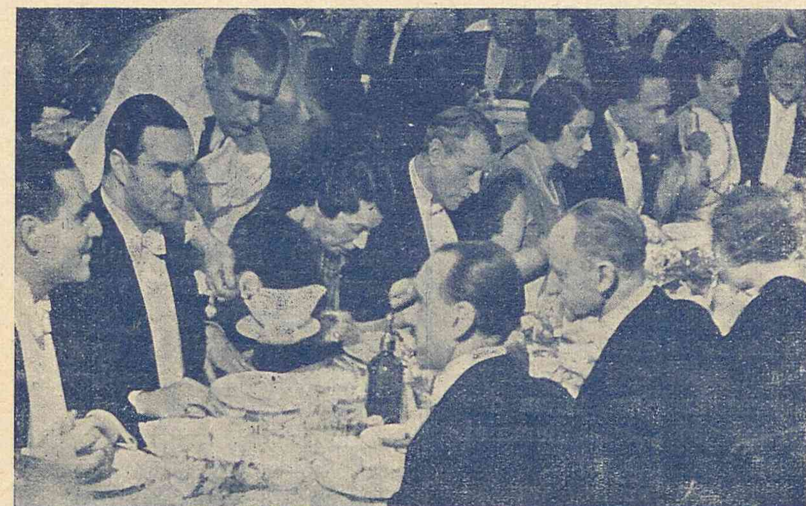
W półotwartem oknie facjatki w ramie podpiętych firanek, nad poezją rozkwitłych różowo pelargonji wychyla się głowa kobieca i bieleje jej suknia.

(D. c. n.)

ZNANY OD LAT NATURALNY SOK CZOSNKU ff.
PRZY KASZLU ARTRETYŹMIE REUMATYŹMIE SKLEROZIE
APTEKA MAZOWIECKA
WARSZAWA MAZOWIECKA 10
Z MARKĄ OCHRONNĄ „FF"

NA BIEŻĄCY KARNAWAŁ...
DO KAŻDEGO KOLORU SUKNI MOŻE BYĆ ZASTOSOWANY KOLOR WŁOSÓW ARTYSTYCZNIE WYKONANY W
SALONIE ERYKA
WARECKA 5
TEL. 619-39.

ŻYCIE TOWARZYSKIE STOLICY
BAL TRICOLORE



Od lewej do prawej sekr. ambas. francus. Baraduc, mjr. Axentowicz, 3) hr. Szembekowa, 4) amb. Cudahy, 5) amb. Noel, 6) radca amb. franc. Bressy, 7) pani Arzur, 8) hr. Lagarde att. amb. franc.



Sekr. amb. włoskiej Zamboni, pani Sasanowa, chargé d'aff. Argentyny, pani Taguard, członkowie amb. włoskiej, francuskiej, wśród nich radca handlowy amb. włoskiej p. Pietrabissa.



Ambasador Francji p. Noel i pani D'Arbonneau, małżonka wojsk. attaché francuskiego.



Ambasadorowa Francji p. Noel i ambasador Stanów Zjednoczonych p. Cudahy.

JIMMY COLLINS

PILOT OBLATYWACZ

Zamieszczamy niesłychanie prosty, a mimo to dreszcz zgrozy wywołujący opis próby nowego samolotu — opis ten pióra świetnego lotnika Jimmy Collins'a odsłania przed nami codzienne bohaterstwo lotników - oblatywaczy, lotników z narażeniem życia badających sprawność i wytrzymałość nowych maszyn. Jest to ostatni opis, ostatni szczęśliwie dokonany lot Jimmy Collins'a.

Z tej próby wyszedł zwycięsko.

Ale później, w próbie następnej... znaleziono jego ciało zmiażdżone niedopoznania pośrodku cmentarza, gdzie samolot jego strzaskał się, spadając z 3000 metrów.

„Jimmy" miał nadzieję zdobyć dosyć pieniędzy, aby zabezpieczyć życie rodzinie i oddać się następnie jedynemu zawodowi, który go nęcił, zawodowi pisarza.

Siedziałem w restauracji Roosevelt Field Hotel, gdzie zwykli się zbierać niezatrudnieni piloci. Paliliśmy i rozmawiali przy czarnej kawie, wyczekując jakiejś dobrej nowiny, gdy nagle zawołano mnie do telefonu.

— Mam dla pana pracę — rzekł mi głos z drugiego końca drutu — próbę naszych nowych samolotów, przeznaczonych dla marynarki.

— Jaki rodzaj próby? — zapytałem nie bez obawy.

— Próbę lotu nurkowego.

Zbyt dobrze wiedziałem, co to znaczy. Ponad 3000 metrów pionowego spadania jedynie aby stwierdzić, czy aparat wytrzyma. Już dokonywałem takich prób. Ostatnim razem mój samolot rozbił się w drzazgi. Pamiętam jeszcze okropny cios w głowę, który otrzymałem w momencie, kiedy zostałem wyrzucony naprzód, i później powolne osuwanie się w nieświadomość. Przypominam jeszcze sobie, jak przyszedłem do siebie o wiele tysięcy metrów niżej i jak wyszedłem, kulejąc, zpośród szczątków maszyny.

— Co się stało z panów pilotami? — zapytałem.

— No, żeby być zupełnie szczerym — brzmiała odpowiedź, — to chociaż jesteśmy przekonani, że wszystko jest w zupełnym porządku, nie mamy jednak absolutnej pewności. Nasz pilot fabryczny dokonał właśnie siedmiu prób lotu nurkowego. Nie można przecież wymagać od niego więcej. Zresztą, poco mamy ryzykować rozbicie naszej zorganizowanej ekipy, skoro możemy wziąć ludzi zzewnątrz?

Zrozumiałem! Bo i dlaczegoż mieliby mieć inny punkt widzenia?

Moja żona i dzieci były jeszcze w Oklahoma, w fermie mego teścia, dokąd wysłałem je jeszcze na wiosnę, gdyż nie było już nic do jedzenia. Gdybym mógł zdobyć dosyć pieniędzy...

— Ileż mi panowie ofiarują? — zapytałem.

— Tysiąc pięćset dolarów i pozatem asekurujemy pana na 15.000 dolarów i stałą rentę na wypadek niezdolności do pracy.

— Dobrze, rzekłem, wiem dobrze, co mi grozi, tem niemniej przyjmuję, zgadzam się.

Dwa tygodnie później wysiadłem z taksówki na lotnisku. Spostrzegłem aparat, samolot bojowy. Na oko wydał mi się solidny, rasowy, jak może nim być tylko maszyna wojskowa. Jego wygląd spodobał mi się. Wdrapałem się do kadłuba. W gondoli znajdowało się wszystko, z wyjątkiem — oczywiście — sposobu przywrócenia na miejsce odpadających skrzydeł.

Zabrałem się do roboty. Spoczątku wykonałem kilka próbnych lotów; badałem maszynę i jej reakcje, pilnie obserwując skrzydła, usterzenie, instrumenty.

Później pikowałem, naprzód ledwo ledwo, później coraz odważniej. Wreszcie zameldowałem, że jestem gotów do próby. Zawiadomiono oficjalnych ekspertów marynarki.

Rozpocząłem pięcioma pikowaniami pod pełnym gazem, dla zademonstrowania, iż samolot może z łatwością osiągnąć swą szybkość maksymalną. Wbrew powszechnemu mniemaniu spadające ciało przyśpiesza swój bieg tylko do pewnej określonej szybkości. Szybkość tę osiąga z chwilą, gdy opory powietrza zrównoważą jego ciężar. Od tego momentu ciało spada z szybkością graniczną, końcową.

Wdrapałem się na 5000 mtr. i oddałem knypel. Samolot pomknął w próżnię lekko, bez wstrząsów. Osiągnąłem szybkość 480 km. na godzinę, poczem wzniosłem się znowu. Trzy następne piki pozwoliły mi osiągnąć kolejno 512, 543 i 575 km. na godzinę. Przy ostatnim spadałem 2300 metrów dokładnie pionowo. W samolocie wszystko działało sprawnie.

Później wyszedłem na 6000 metrów dla ostatniej próby. Było bardzo zimno. Niebo przybrało kolor granatowy. W uszach zaczęło mi szumieć, a nieznośny ból rozdzierał mi bębenki. W pewnej chwili zdawało mi się, że bębenki już pękają. Oddałem knypel i zacząłem spadać. Wskazówka szybkościomierza pomknęła po tarczy, ryk motoru wzmagał się, poczułem wzrost ciśnienia, spowodowany pędem. Wysokościomierz wskazywał spadek pionowy. 4000 m., 3700, 3500...

Ryk motoru zamienił się w jęczące wycie. Pęd powietrza z potworną siłą wciskał mnie w oparcie. 3300 m. 3100... 3000. Wreszcie dociągnąłem do szybkości granicznej: 630 km. na godzinę. Poczułem, że szybkość spadku już nie wzrastała, usłyszałem to. Silnik śpiewał na jednym wysokim tonie, opierzenie skarżyło się przenikliwym jękiem. Spojrzałem na altimetr: 2800 metrów. Na 2500 zacznę „ciągnąć".

Nagle coś uderzyło mnie w twarz. Z trwogą przypomniałem sobie cios w głowę podczas mego wypadku, gdy skrzydła odeszły. Instynktownie szarpnąłem knypel i wyrównałem. W locie poziomym znów poczułem się panem swych nerwów. Stwierdziłem, że jeden z przyrządów wypadł i musnął mnie w locie. Byłem wściekły, że taki drobiazg mógł mnie zdenerwować.

Uszy cierpiały nadal od ciśnienia. Ścisnąłem palcami nozdrza i mocno dmuchnąłem. Ciśnienie ustąpiło. Te uszy wytrzymają jeszcze parę takich pikowań.

Następne loty nurkowe miały wykazać już nie szybkość, lecz zwrotność. Czekało mnie gwałtowne wyrwanie maszyny z piki 3500 metrów, aby „g" (przyciąganie ziemskie) wzrosło na tarczy akcelerometru do „dziewięciu g". Wiedziałem, że zostanę rozpłaszczony na siedzeniu siłą, równającą się memu dziewięciokrotnemu ciężarowi, 630 kg. Wiedziałem, że to podda samolot odpowiednio wielkim naprężeniom, i że właśnie dlatego zaangażowano mnie. Ale nie miałem pojęcia, co stanowi takie gwałtowne wyrównanie dla pilota.

I znów wdrapałem się na 6000 metrów, aby rozpocząć pikę. I znów spadek, początkowo łagodny i wciąż wzmagający się ryk motoru. I znów wściekły bieg wskazówek po tarczach przyrządów i napięta uwaga ich obserwacji. W czasie lotu nurkowego nigdy nie widzi się ziemi, zanadto pochłania obserwowanie instrumentów. I znów strach, gdy życie wisi na włosku i gdy śmierć na nas czyha. I znów wrzask skargi zastrzałów i ściągaczy, które zdają się nie móc wytrzymać szybkości.

Na 2400 metrach gwałtownie wyrównałem i spojrzałem na wskazówkę przyspieszeniomierza, która nagle skoczyła. Wpadłem w siedzenie. Siła odśrodkowa, ogromny niewidzialny potwór, wcisnęła mi głowę w ramiona i rozpłaszczyła mnie na fotelu tak, że kręgosłup zdał się złożyć we dwoje. Krzyknąłem z bólu. Krew zbiegła mi z głowy i poczułem się prawie ślepy. Patrzyłem na akcelerometr jak przez gęstą mgłę. Nie widziałem już skrzydeł, nie widziałem już nic. Rozpaczliwie opierałem się omdleniu, starałem się zmóc ślepotę, zwalczyć okropne uczucie, że wnętrzności rwą się, pękają. Wkońcu poczułem się lepiej. Wkrótce mogłem już widzieć. Leciałem poziomo. Ale moje serce biło niespokojnie, głowa gorzała.

Kiedy wreszcie wylądowałem, czułem się zupełnie rozbity. Możnaby powiedzieć, że ktoś wyjął mi oczy z orbit, bawił się niemi i po dłuższej zabawie włożył zpowrotem. Piersi i plecy bolały. Z trudem mogłem utrzymać się na nogach.

A tymczasem to jeszcze nie był koniec.

Sprawdzano samolot do ostatniej próby. Ktoś opowiadał mi o pewnym pilocie z Wright Field, który przez nieostrożność dosięgnął do 12 czy też 14 g. Opadł z poprzerywanemi wnętrznościami i popękanemi naczyniami krwionośnemi w mózgu. Spędził rok w szpitalu, ale nie wyzdrowieje nigdy.

Drżałem na myśl o nowej próbie. Dotychczas wszystko szło dobrze! Obawiałem się wypadku w czasie ostatniego pikowania. Wiedziałem, że samolot wytrzymał ciężką próbę. Czyż jeszcze jedna nie będzie zadużo? Może coś, co pozostało niezauważone podczas sprawdzania, oderwie się, odczepi, to będzie koniec.

Wznosząc się, myślałem o żonie i dzieciach. Dzień był piękny. Rozpocząłem pionowy spadek. Na samym dole zauważyłem trochę niebieskiej ziemi...

znajdziesz szczęście...

W KOLEKTURZE

J. Haładejowej

CENTRALA

Warszawa, Nowy-Świat 68

ODDZIAŁY

Nowy Świat 30, Krak. Przedm. 87.

Chłodna 68, Marszałkowska 86.

NIEBEZPIECZNA PORA ROKU

Deszcz, śnieg, wiatr, niszczy skórę rąk
Zapobiega czerwienieniu i pierzchnięciu,
utrzymuje stale gładkie białe ręce

KREM PRAŁATÓW

„PERFECTION"

RZADKI JUBILEUSZ

Rzadki, bo stuletni jubileusz istnienia obchodziła „Huta" Szklana „Czechy" pod Garwolinem — „Przemysłu Szklanego w Polsce S. A."

Z małego przedsiębiorstwa, założonego przez dzielnego fachowca, hutnika Ignacego Hordliczkę w roku 1835, zdołano w krótkim stosunkowo czasie przekształcić się w duże zakłady przemysłowe.

Wyroby huty „Czechy" opanowały dzięki swej nieznanej dotychczas na ziemiach polskich wysokiej jakości nie tylko rynek miejscowy, lecz dotarły do Rosji i krajów zachodnich, zwycięsko konkurując z wyrobami zakładów hutniczych o światowej sławie. Wkrótce za swe pierwszorzędnej jakości wyroby Huta uzyskała na wystawie światowej szereg odznaczeń, dyplomów, medali złotych i srebrnych.

Na szczególne podkreślenie zasługuje, że ówczesny właściciel stworzył własnym kosztem szereg instytucyj o charakterze społecznym, jak: Kasę Oszczędności, Pogrzebową, Kluby, Aptekę, Szkołę i t. p. Podobne instytucje socjalne były wówczas zupełnie nieznane, to też huta „Cechy" stanęła w rzędzie czołowych zakładów przemysłowych pod względem urządzeń społecznych i jako jedyna polska placówka huta „Czechy" stanęła do konkursów o wzorowe urządzenia robotnicze z nagrodą 100.000 franków, wyznaczoną przez cesarza Napoleona III na wystawie paryskiej.

Pomimo wielkich trudności w okresie wojennym Huta przetrwała burzę dziejową, przekształcając się w roku 1921 na spółkę akcyjną „Przemysł Szklany w Polsce".

Po wprowadzeniu szeregu udoskonaleń technicznych, huta „Czechy" stanęła znów na dawnym wysokim poziomie i produkuje w pierwszym rzędzie szkło perfumeryjne, laboratoryjne i dentystyczne, nie zaniedbując wyrobów szlachetniejszych i cenniejszych.

W ostatnich latach wyrobami Huty coraz bardziej interesują się rynki zagraniczne, co potwierdza wysoka jakość wyrobów oraz zdolności konkurencyjne przedsiębiorstwa.

Stali odbiorcy Huty rekrutują się tylko z pośród najpoważniejszych firm, roszczących się przedewszystkiem o jakość nabywanego towaru.

Notując ten rzadki w nowych warunkach, stuletni jubileusz przedsiębiorstwa, należy podkreślić ten niecodzienny wypadek utrzymania dawnych tradycyj placówki — społecznie i gospodarczo pożytecznej.

PTASIE KRÓLESTWO w PARYŻU

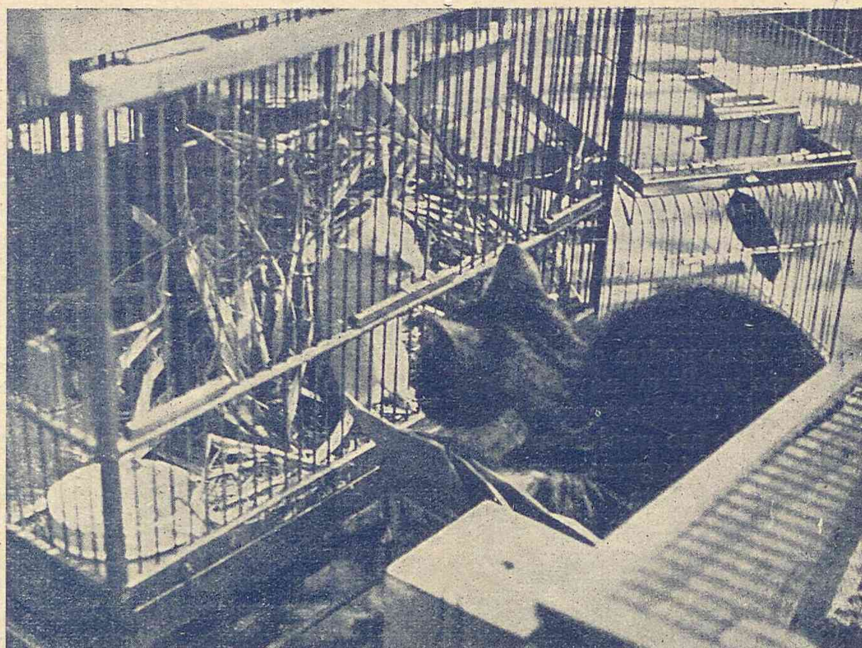
(Koresp. własna „Świata".)

Paryż w styczniu

Wśród marzycielskich starych panien o tkliwem sercu, profesorów z typu idealnych mężów, zachwyconych dzieci i sentymentalnych par odbywa się dwa razy w tygodniu targ na ptaki w Paryżu.

O bulwarach nad Sekwaną, przecinającą Paryż, „Ville Lumière", można myśleć jedynie z tkliwą melancholją, owianą wspomnieniami. Te bulwary raz szerokie, proste, imponujące, to znów wąskie, kręte, zacienione, które scalają Paryż po obu brzegach rzeki majestatycznie leniwej. Te bulwary, które tak dobrze uwypuklają każde z wielu oblicz stolicy świata, podkreślając charakter mijanych dzielnic.

Quai de Javel: Paryż przemysłowy, ogromne fabryki Citroëna, — Quai de Passy: Paryż elegancki, chłodny, cichy i sztywny, — Quai de Tuileries: Paryż, miasto wiecznej wiosny, z gładkim i lśniącym asfaltem, zielonością, cieniem pachnących gajów — Quai d'Orsay, miasto z kryształu z dworcem, Gare d'Orsay, całym ze szkła, z ogromnemi zegarami z białej porcelany — Quai Malaquais, Quai Conti: miasto powagi i nauki, miasto akademickie — Quai des Grands Augustins, dzielnica łacińska, miasto



...tu również kupuje się białe myszki i koty...

beztroskiej swobody, królestwo bukinistów (któż nie zna bukinistów paryskich, pochrząkujących całemi godzinami, siedząc przy kramikach, zawalonych staremi książkami, czytających gazetę z przed tygodnia czy też z przed wieków?). Naprzeciw Quai des Grands Augustins, z drugiej strony Cité, Quai du Louvre, Quai de la Mégisserie i Quai de Gesvre obramiają spokojną Sekwanę.

Tu właśnie jest raj światka powietrznego, małych fruwających istotek, lekkich jak puch — raj ptaków.

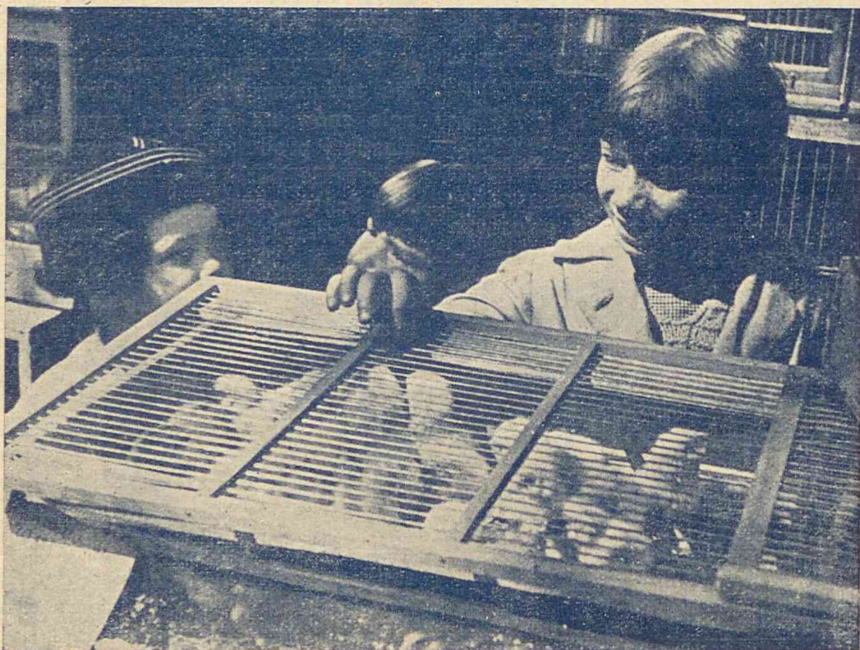
Ptaszarnie wybrzeży paryskich. Cała poezja wielkiej stolicy zamknięta jest w tych małych klatkach drucianych, gdzie dziesiątki i setki parek podfruwają, całują się, kłócą i godzą pod ciepłem spojrzeniem pobłażliwych przechodniów.

Tu właśnie odbywa się w określone dni tygodnia targ na ptaki. Każdy gatunek ma swój kurs, a właściciele ptaszarni starannie notują, czy cena kosa wzrosła o sto sous, czy też obniżyła się o franka.

To właśnie tu przychodzą opiekunowie kanarka, aby poradzić się ptasznika w ciężkiej potrzebie, gdy ich pupilek jest chory, lub też sprzedają rodzinny skarb, gdy wszystko zawodzi i niema pieniędzy na chleb. Zamiast udać się do lombardu lub sprzedać ptaszka definitywnie, „rodzice" zostawiają pociechę na jakiś czas w ptaszarni, lecz za nic w świecie nie pozbawiają się przyjemności przejścia parę razy dziennie przed oknami sklepu, aby pozdrowić swego kanarka i by sprawdzić, czy nie jest jeszcze sprzedany.

Ci, którzy zatrzymują się przypadkiem przed klatką z kurczątkami, kanarkami lub kosami, tracą rachubę czasu, zapominają o celu przechadzki i tkwią całemi godzinami, obserwując nieustanny ruch tego uprzywilejowanego światka, dla którego powrót słońca oznacza nadejście szczęścia.

Małe kurczątka są ulubieńcami dzieci. W czwartki, kiedy dzieciarnia wolna od szkoły prze-



...tracą rachubę czasu przed klatką z kurczątkami...

chadza się po mieście, kieruje swe kroki w stronę klatek na wybrzeżu, i nie pozwala się od nich oderwać, chyba groźbą dobrych batów po powrocie do domu.

Kanarki, cudne żółte, czarno nakrapiane kanarki są podziwiane głównie przez amatorów-hodowców. Ta starsza pani, która własnoręcznie zabiera małą towarzyszkę dla swego śpiewaka, trwa szereg godzin w czułym podziwie dla tych wesołych parek, które rozweselają dźwięcznym trelem smutne serce starej panny.

A gdy zakochana para zatrzyma się w czasie wiosennej przechadzki przed ptaszarnią, długie miną chwile, nim odejdzie od klatek. Ptaki bowiem mają coś fascynującego, co przyciąga oczy i niewoli serca.

Melancholijnie zwalnia kroku ta sędziwa dama. Ileż wspomnień młodości, szczęścia i radości przywodzą jej na myśl te małe ptaszki...

Pan profesor robi wypad na Quai du Louvre i w tajemnicy przed żoną kupuje nową klatkę dla Lulu, małej żółtej „córeczki" bezdzietnego stadła.

Kupują ziarno i klatki, białe myszki i koty, kosy, turkawki, kanarki...

...tu właśnie przychodzi stroskana opiekunka kanarka, bo jej pupilek jest chory...



Na wiosnę nadbrzeża rozbrzmiewają tysiącem dźwięcznych, harmonijnych głosików, hymnem do słońca, pogody, lata.

Roztargnieni sądzą, że śpiew pochodzi zgóry, od ptaków, które założyły gniazda na rozłożystych drzewach. *Javel*

ZE SWIATA KSIĄŻKI

„Historja wojny polsko-austrjackiej 1809 r."

Pełnym chwały bojom z r. 1809 dał wojskowo-historyczne tło i szczegółowo je opisał Bronisław Pawłowski, przedstawiając możliwie objektywnie „Historję wojny polsko-austrjackiej 1809 roku" (Warszawa, 1935, Główna Księgarnia Wojskowa).

Dziwna to wojna dla nas, przyzwyczajonych w czasie Wielkiej Wojny do długich, wielomiesięcznych walk pozycyjnych, do zaciętej obrony każdej piędzi ziemi. Wojna polsko - austrjacka 1809 roku — to wojna ruchowa dawnego typu, tocząca się z wielką szybkością posunięć. Zaledwie zaczęta 15 kwietnia wkroczeniem Austrjaków w granice Księstwa Warszawskiego, doprowadza już po 4 dniach do bitwy pod Raszynem. Pomimo bohaterskiej postawy swoich wojsk Ks. Józef ewakuuje Warszawę, oddaje ją Austrjakom, ale też natychmiast uderza na nich na prawym brzegu Wisły.

W zwycięskich walkach Polacy odbierają Austrjakom Lublin, Sandomierz, Zamość, Lwów i 2 czerwca Austrjacy bez drugiej bitwy o Warszawę opuszczają ją, przenosząc teren walk na południe. W dwa tygodnie potem Polacy zmuszeni są opuścić Sandomierz i Lwów, ale już 3 lipca biorą znów w swe ręce inicjatywę walk i nową ofenzywą rozszerzają zajęty teren. 15 lipca wkraczają do Krakowa, i na tem po 3 miesięcznych bojach kończą się operacje wojenne. Tego dnia bowiem oba obozy otrzymały wiadomość o zawieszeniu broni, zawartem po zwycięstwie Napoleona pod Wagram (5 i 6 lipca).

Dzieło Br. Pawłowskiego wyczerpująco przedstawia szybkie tempo działań wojennych i ocenia wodzów i żołnierza. Jak dalece sądy jego o ludziach i ich taktyce są słuszne, powiedzą specjaliści z dziedziny historji wojennej. Ale dzieło jest interesujące i dla niespecjalisty. Daje czytelnikowi jasny obraz sytuacji, w której wojsko Księstwa Warszawskiego pozostawione było własnym siłom, nie mogąc liczyć na pomoc Napoleona, zajętego wojną w Niemczech, lub jego rzekomego sojusznika Aleksandra I.

Książę Józef zdawał sobie sprawę z niedoskonałości przygotowań wojskowych armji, którą dowodził, i umiał świetnie przystosować się do trudnych warunków. Przedstawia nam Pawłowski chwile jego depresji i szybkie nad sobą samym zwycięstwo. Odtąd książę Józef wybija się na czoło Narodu i przechodzi do historji jako ukochany wódz armji, własnym ogromnym wysiłkiem Polaków zorganizowanej armji, której bohaterstwu zawdzięczała znaczna część zaboru austrjackiego wyzwolenie i włączenie do Księstwa Warszawskiego. **w. o.**

„Kainowym szlakiem"

W przededniu ukończenia tragicznego procesu ukraińskich terorystów zjawiła się książka Marjana Sulimy p. t. „Kainowym szlakiem" (nakład księgarni F. Hoesicka w Warszawie).

Autor, znany zaledwie z kilku nowel, drukowanych w pismach, a zatem nieomal debiutant w literaturze, poruszył zagadnienie przemilczane dotąd w polskiej beletrystyce, a wysuwające się na czoło zainteresowań naszego życia państwowego.

Powieść Marjana Sulimy, pisana z wielką swadą literacką, świadcząca o

kulturze pisarskiej autora, daje obraz życia miasteczka w Małopolsce wschodniej, kędy od wieków współżyją z sobą dwa elementy: polski i ukraiński.

Długie wieki trwała zgoda, współpraca wzajemna, miłość i szacunek, oba narody łączyły się w związki rodzinne, przenikały wzajemnie, a sprawdzianem wartości ludzkiej były osobiste zalety człowieka. I w to społeczeństwo, idealnie zżyte w ciągu wieków, wkraczają spory narodowościowe. Zatarg przeobraża się w otwartą wojnę nietylko już obu narodów, ale członków tych samych rodzin i idealnych dotąd przyjaciół.

Ludność miasteczka nienawidzi się wzajemnie, podzielona na dwa obozy wiedzie życie ekskluzywne, wydzierając sobie wzajemnie nietylko placówki oświatowe i ekonomiczne, ale nienawiść posuwając aż do zbrodni.

Na tle tego środowiska przedstawił autor miłość chłopaka, syna Polaka i Ukrainki, do polskiej dziewczyny. Walki narodowościowe, w które wpada mimowoli bohater powieści, popychają go do zabójstwa ukochanej dziewczyny a następnie do samobójstwa. Ginie dobry człowiek, wepchnięty w splot tragicznych sytuacji, które czynią zeń podpalacza i mordercę.

Barwnie odmalował p. Marjan Sulima środowisko miasteczka małopolskiego, krajobraz południowych kresów i postacie ludzkie pełne idealizmu, energji twórczej, fanatyzmu lub zupełnej obojętności dla spraw toczącej się walki bratniej. Jako obraz środowiska jest książka Marjana Sulimy „Kainowym szlakiem" jednem z najwartościowszych dzieł współczesnego powieściopisarstwa.

Głębokie akcenty humanitarne, ujęcie zagadnienia polsko - ukraińskiego z perspektywy ogólnoludzkiej, wolnej od szowinizmów, nasunąć muszą poważne refleksje ku wzajemnemu pożytkowi obu powaśnionych narodów.

K. W.

CZASY... CZASY...

Smutny fakt notują *Les Nouvelles Littéraires.* Pewien bukinista z okolic Châtelet wyspecjalizował się w sprzedaży t. zw. „egzemplarzy prasowych", przysyłanych krytykom przez autorów, które on kupuje od krytyków. Książki te zazwyczaj są nieskazitelnie czyste, czasem nawet nierozcięte.

Na pierwszej stronie mieści się zawsze podpis autora, poprzedzony najczęściej jakąś krótką dedykacją. W samym rogu — kawałek strony jest wycięty. Tam figurowało nazwisko krytyka.

Pięć franków to przeciętna cena książki. Lecz jedna półka zarezerwowana jest dla egzemplarzy, gdzie bezpośrednio pod tajemniczym wykrojem pozostały jeszcze słowa: ...„de l'Académie française"...

Taka książka kosztuje 5 franków 50 centymów.

ŚLEPY LOS, ALE TRAFI GDZIE POTRZEBA

Jak wiadomo, dnia 21 b. m. na Nr. 44794 padła w kolekturze Józefa Maschlera w Tarnowie przy placu Kazimierza 1 (plac ten powinien teraz nosić przydomek „Szczęśliwego") — główna wygrana czwartej klasy 34-ej Loterji — miljon złotych. Oto garść szczegółów, dotyczących nowych „miljonerów".



P. Stanisław Wróbel, emerytowany chorąży 78-go pułku piechoty, gra stale do spółki ze swym przyjacielem *p. Franciszkiem Galikiem,* właścicielem kjosku tytoniowego. Szczęśliwy numer wyciągnął dla nich ociemniały muzyk p. Edward Ostrowski, który naturalnie otrzyma też swoją część wygranej. Obydwaj gracze zamierzają wybudować sobie domy w rodzinnym Tarnowie.



P. Kołodziowa, żona mechanika w Mościcach, właścicielka drugiej ćwiartki, posiada w rodzinie licznych bezrobotnych. 200.000 zł., które podjęła w Generalnej Dyrekcji Loterji Państwowej, pozwoli jej dopomóc im i zapewnić byt.



P. Frieburg jest nauczycielką gimnazjalną. Dzięki wygranej spokojnie spogląda teraz w przyszłość, ale nie ma jeszcze skonkretyzowanych projektów.



Właścicielami ostatniej ćwiartki są pp. *Władysław Giemza,* ślusarz, i *Jakób Kotapka,* szofer — obydwaj zatrudnieni w Mościcach. Otrzymali po 100.000 zł. każdy i są tak oszołomieni swojem szczęściem, że nie mogą narazie zorjentować się w swych zamiarach.

Ostatni dwaj „miljonerzy" dowiedzieli się o wygranej z transmisji radjowej, pozostałych zawiadomiła kolektura. Wszyscy zatrzymali narazie swe zrealizowane wygrane w Banku Gospodarstwa Krajowego.

Naturalnie wszyscy zaopatrzyli się też w losy do I-ej klasy 35-ej Loterji, której ciągnienie rozpoczyna się 20 lutego b. r.

JOYCE

Alfred Kerr umieszcza w ostatnim numerze *Les Nouvelles Littéraires* bardzo ciekawy wywiad z James Joyce'm. (A Joyce nie lubi udzielać wywiadów). Trzeba wiedzieć, że Joyce od r. 1921 mieszka w Paryżu. Joyce, którego przestępstwem był *„Ulysses*

(książkę, za którą w czytelniach warszawskich żądano 30 złotych dodatkowej kaucji!), po opuszczeniu kraju brał lekcje śpiewu we Włoszech, potem przebywał w Szwajcarji, aż wreszcie osiedlił się we Francji, odwiecznem schronieniu wszelkiej emigracji. Joyce wyglądem zewnętrznym przypomina nauczyciela ludowego z zapadłej niemieckiej prowincji. Jest on prawie niewidomy, a mimo to sam pisał w dosłownem znaczeniu swe dzieła, nie uciekając się do dyktanda. Joyce jest sztywny i chłodny, ma suchy i obojętny sposób mówienia, a ożywia się tylko, gdy chodzi o jego syna, który ma już trzydzieści lat, lub wnuka, którego kocha jeszcze bardziej. Joyce potwierdza sensacyjną pogłoskę, że wyklęty *„Ulysses"* ma być dopuszczony do Anglji i że jedna z większych londyńskich firm wydawniczych przygotowuje już najzupełniej legalne wydanie angielskie, które w niczem nie będzie różnić się od oryginału.

Czyżby to miało wróżyć podobną zmianę stanowiska cenzury angielskiej i wobec utworów D. H. Lawrence'a?

Taniej
nabędziecie obecnie we wszystkich aptekach
ASPIRINĘ
gdyż pudełko zawierające 20 tabletek kosztuje już tylko zł. 2.25
pudełko zawierające 6 tabletek zł. 0.90
BAYER

ANEGDOTY TEATRALNE

W teatrze lwowskim długoletnim woźnym przy każdorazowym dyrektorze (Gliksonie, Pawlikowskim, Hellerze) był niejaki Pichor. Odznaczał się lapidarnemi powiedzeniami, przyczem nie lubił wdawać się w długie rozmowy. był oszczędny w słowach, lubił, jeżeli to było możliwe, odpowiedzieć na pytanie gestem lub kiwnięciem głową.

Aleksander Bandrowski, słynny śpiewak wagnerowski, dbający o swój głos był raz niezadowolony ze zbyt niskiej temperatury na scenie. Pyta więc Pichora, owijając przezornie szyję szalem:

— Czemu dziś w teatrze nie napalono?

Pichor ze swym olimpijskim spokojem — miast cośkolwiek odpowiedzieć, wskazał na tabliczkę, jaka znajduje się na każdej scenie teatralnej:

„Palenie surowo wzbronione".

* * *

Tenże Pichor miał za obowiązek zawiadamiać kogo należało o próbach i przedstawieniach.

Załatwiał to także z zaoszczędzaniem słów. A stąd powstawały niezadowolenia zawiadamianych, które opierały się nieraz o samego dyrektora.

Naprzykład raz aktorzy, zebrani w „Czytelni teatralnej", oczekujący przy dominie, szachach i gazetach na początek próby z „Dziadów" Mickiewicza, usłyszeli anons Pichora:

— „Dziady"! Na scenę!

* * *

Innym razem corps-de-ballet in gremio skarżył się baletmistrzowi, że woźny ośmiela się wzywać je do pracy w ten sposób:

— Ciało baletowe, do roboty!

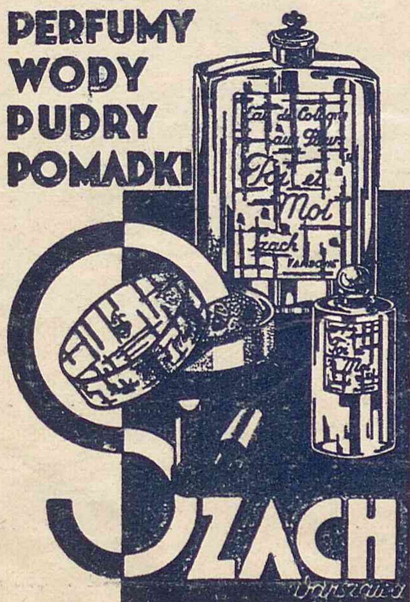
* * *

Pichor był osobistością nadzwyczaj popularną we Lwowie. Nadto nosił się w ten sposób, że łatwo było się nań ucharakteryzować aktorowi, który grał rolę woźnego teatralnego w jakiejś sztuce. Aktor nalepił sobie długą brodę, chodził z godnością, mówił przez nos i rzeczywiście łudząco był podobny do tego, z którego wziął sobie wzór. Rola była większa.

Kiedy spytano Pichora, czy uważa, że aktor dobrze go robił, odpowiedział:

— Owszem, tylko za dużo gadał.





Chcesz mieć zawsze cerę młodzieńczą? powodzenie?
ODŚWIEŻA · OCZYSZCZA i MATUJE CERĘ
USUWA WĄGRY · PRYSZCZE · i ROZSZERZONE PORY.
ORYGINALNY z RYSUNKIEM RAJSKIEGO PTAKA
PŁYN
VESTA
ŻĄDAĆ: SKŁADY APTECZNE i PERFUMERJE
Próbki gratis w „Kalotechnice" Marszałkowska 116

Wytworne Salony Fryzjerskie





Polecają rewelacyjne modele fryzur PARYŻA przy zastosowaniu nowoczesnych aparatów do Wiecznej ondulacji oraz modnych barwników do włosów.

„KOMOL"
Plac Zbawiciela róg 6 sierpnia 7
Tel. 8-41-67:

GABINET KOSMETYCZNY
Manicure — Pedicure

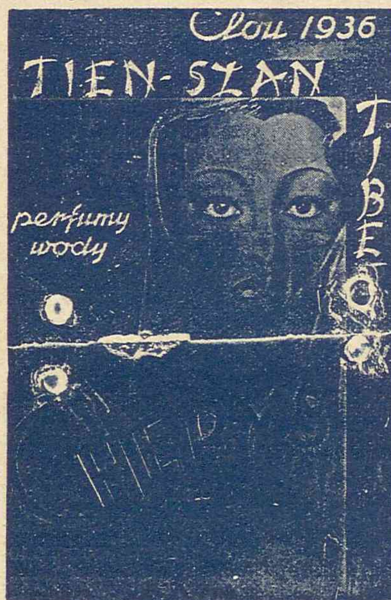


MYDŁO
DERMOPALME
dla znawców

wyrabiane jest na olejkach owoców oliwnych, dzięki czemu staje się idealnym środkiem do pielęgnowania cery.

Pamiętaj markę

Gilos
PARIS-VARSOVIE



Wzorowe kursy kosmetyczne

Od 10 lat istnienia celem „Pierwszych w Polsce, wzorowych, Kursów Kosmetycznych" i „Pierwszej w Polsce wzorowej Szkoły Masażu Leczniczego" jest wyszkolenie fachowych kosmetyczek i masażystek.

Ukończenie Kursów i Szkoły daje prawo praktyki i otwarcia własnego gabinetu kosmetycznego.

Nauka obejmuje przedmioty obowiązkowe, nieobowiązkowe, dodatkowe i specjalne. Ćwiczenia obejmują wszelkie nowości krajowe i zagraniczne z zakresu zabiegów kosmetycznych, stosowania i przygotowania środków kosmetycznych, oraz zabiegi zdobnicze.

Kursy posiadają wzorowy lokal szkolny, sale wykładowe, pracownie, oraz jedyne w swoim rodzaju, pełne komplety urządzeń i specjalnych aparatów kosmetycznych, według ostatniej techniki i wskazań.

Urządzenia Kursów uważane są przez świat lekarski i specjalistów za wzorowe urządzenia w Polsce, a poziom nauczania za najwyższy i postępowy, oparty na 10-cio letniem doświadczeniu pedagogicznem.

Szczegółowych informacji udziela Sekretarjat „Pierwszych w Polsce Kursów Kosmetycznych" Dr. med. Marty Biernackiej i Dyr. Iny Kisielewskiej w Warszawie, Szopena 16.

PIERWSZA  LECZNICA

Kosmetyczna i Chorób włosów
Dr. med M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

WIELE JEST ŚRODKÓW PRZECIWKO HEMOROIDOM, WYNIK KURACJI ŚWIADCZY O ZALETACH UŻYTEGO ŚRODKA CZOPKI „VARICOL" GĄSECKIEGO STOSUJE SIĘ PRZY BÓLACH, KRWAWIENIU, SWĘDZENIU, PIECZENIU I INNYCH OBJAWACH HEMOROIDALNYCH. — PRZY ZEWNĘTRZNYCH GUZACH HEMOROIDALNYCH STOSUJE SIĘ MAŚĆ „VARICOL"

„VARICOL" GĄSECKIEGO NIE ZAWIERA SZKODLIWYCH SKŁADNIKÓW

MEBLE wykwintne poleca w wielkim wyborze
S. RADELICKI
oraz



TAPCZANY
fotele klub.,
kuchnie
N. ŚWIAT 30
róg Pierackiego



ostrza
„POLONIA"

K. MACIAK
ul. Kredytowa Nr. 10, tel. 279-77
Specjalność: robota i wypożyczanie
Fraki

Bez forsy niema radości
Bez OLLA niema pewności
„OLLA"
Gum..!

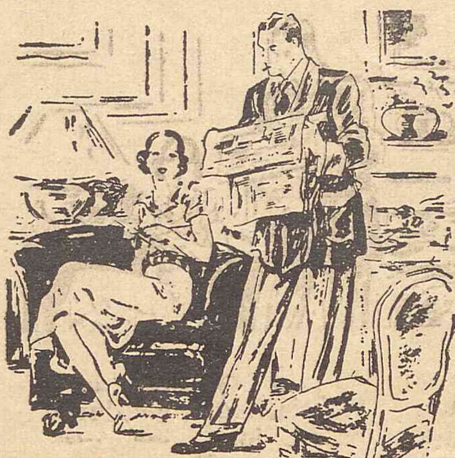
TRYKOTAŻE
POŃCZOCHY
TRICOT
WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 123

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.

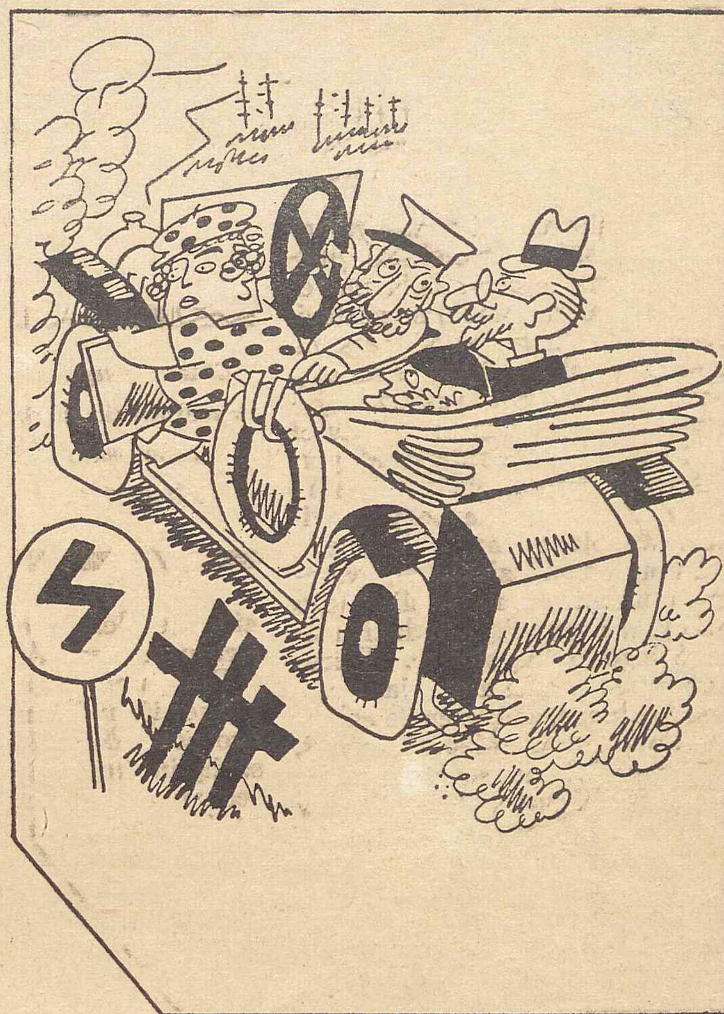
ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE!



— ...Abisyńczycy w dalszym ciągu przysięgają wierność Włochom...
— W końcu przekonamy się, że to wogóle jedyni szczerzy przyjaciele, jakich posiadamy!

(Travaso delle Idee).

SAMOCHÓD OKAZYJNY



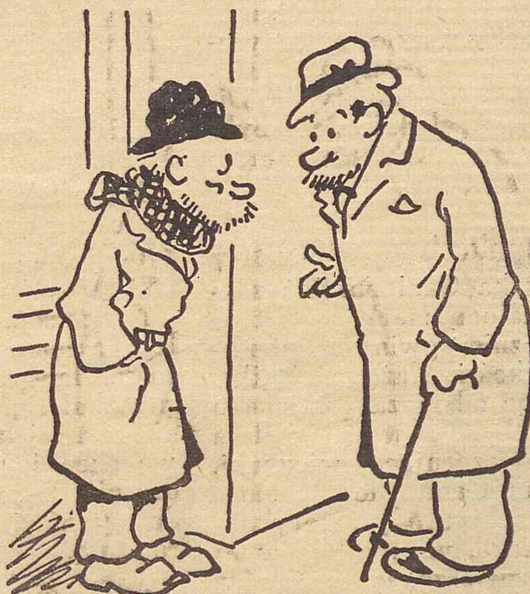
Pan: — Jedziemy pod górę, czy może mam popchnąć trochę auto?
Szofer: — E, nie. Ale bardzobym prosił, żeby pan wysiadł i poniósł na tym kawałku kufer i koło zapasowe.

ROZWAŻANIA... SPOŻYWCZE



— Cały swój majątek stracił na cukrze!
— I co teraz?
— Teraz... jest w bryndzy!

PRZEZORNY GRACZ



— Panie, jeszcze pan żebrze? Słyszałem, że pan wygrał miljon na loterji...
— A czy ja mówię, że nie?

ŚWIAT FILMU

Dawid Copperfield — Bałtyk.

Któż nie pamięta powieści Dickensa, opowieści owianej mgłą zapomnienia opowiadań z wczesnej młodości.

Mrok niepamięci przeszyty ostrym blaskiem reflektora pryska, dawne wspomnienia nabierają życia. Zapomniane postaci, typy, charaktery występują na pierwszy plan, żyją, działają. Tym reflektorem rozświetlającym fragment naszej młodości jest film Metro-Goldwyn-Mayer, „Dawid Copperfield". Świetna gra małego Dawida porywa widza. Współczujemy z biednem, osamotnionem dzieckiem, wrzemy oburzeniem na bezlitosnego ojczyma i wyzutą z ludzkich uczuć jego godną siostrę. Wzruszamy się przemianą, jaką widok biednego, zmęczonego chłopca dokonał w nieprzystępnej, zdziwaczałej ciotce. Szczególnie piękny jest moment, gdy mały bohater, znużony pieszą wędrówką z Londynu do Dover, zasypia na gościnnem łóżku ciotczynem, mówiąc zmęczonym głosem pacierz. Z tej sceny reżyser wydobył maximum poezji i dziecięcego wdzięku.

Film jest wierną ilustracją książki. Wierność ta często zbyt drobiazgowa (np. incydent z uwiedzeniem Emilki) osłabia wrażenie filmu.

Gra artystów prawie że bez zarzutu. Wallace Beery i Levis Stone odtworzyli swe role znakomicie. Fields i Lawton bezkonkurencyjni. Wszystkie epizodyczne rólki charakterystyczne świetnie dopasowane do typów Dickensa. Bezwzględnie słabe były role kobiece. M. O'Sullivan mdła i bez wyrazu.

„Katarzynka" — Stylowy

Franciszka Gaal ma już zdawna ustaloną markę. Jest to bezsprzecznie gwiazda pierwszej wielkości. Każdy jej film, poczynając od niezapomnianego „Csibi", był nowym wielkim sukcesem czarującej wiedenki. Franciszka Gaal nie ma może olśniewającej urody amerykańskich gwiazd, nie ma cudownej figury rozwierzganych girlsów, ale ma tak ogromny wdzięk, że każde jej ukazanie się na ekranie, niezależnie od roli czy też stroju, zmusza do zachwytu.



Charles Laughton w znakomitym filmie Paramountu „Arcylokaj".

Dodajmy do tego, że wszystkie jej filmy odznaczają się bardzo pomysłową i staranną reżyserją, interesującym i ciekawym scenarjuszem i... zdecydujmy się pójść na „Katarzynkę".

Ktoś nazwał Franciszkę Gaal „kopciuszkiem ekranu". Nigdy chyba nie była bardziej kopciuszkiem, niż w roli Katarzynki.

Katarzynka jest poprostu... popychadłem, pomocnicą od tej najczarniejszej roboty. Szoruje podłogi, czyści buty, jest przez wszystkich wyzyskiwana i popychana. Jest niczem.

W okropnej sukience, koszmarnych pończochach w paski, ogromnych drewnianych chodakach, robionych chyba „na miarę Fidjasza, nie na miarę"... szewca. Widzimy ją umorusaną i rozczochraną, z dwoma śmiesznemi chudemi warkoczykami à la mysie ogonki.

Mimo tak — zdawałoby się — mało pociągającego wyglądu i roli, Katarzynka jest urocza, bawi i wzrusza.

Nie można się tedy dziwić eleganckiemu złotemu młodzieńcowi, Hansowi von Gesticke, że zakochał się w niej nazabój, że nie zważając na różnice klasowe chce ją poślubić, że rzuca dla niej bogatą narzeczoną, dodajmy nawiasem — niezbyt urodziwą.

Film zrobiony jest prosto, szczerze i bezpretensjonalnie. Komedja jest wesoła, pogodna i miła. Wszystkie role obsadzone trafnie, zagrane naturalnie i bezpośrednio. Strona muzyczna bez zarzutu. Dużą atrakcją filmu jest występ słynnego chóru „Wiener Harmonist". Slow-fox wykonany przez nich zdumiewa fenomenalnemi trickami głosowemi, niewiarygodną wprost techniką śpiewu.

Życzyćby można, żeby nasi producenci filmowi „zapatrzyli się" na ten rodzaj lekkiej komedji, tembardziej, że użyte środki techniczne są tu więcej niż ograniczone: jeden stary, ale to bardzo stary samochód, a efekt znakomity.

Marlena nie opuszcza Hollywoodu

W związku ze sprawą Lindbergha, szereg pism warszawskich podał wiadomość o ucieczce Marleny Dietrich z Hollywood. Wiadomość ta nie jest ścisła. Marlena nie opuszcza Hollywoodu, gdzie obecnie nakręca swój drugi film p. t. „Zaproszenie do szczęścia", reżys. Henry Hathawaya, z Charlesem Boyerem. Wiadomości o rzekomym wyjeździe Marleny świadczą o wielkiej jej popularności w Ameryce. Najnowszy film Marleny p. t. „Pożądanie" jest już ukończony. Ernest Lubitsch zrobił specjalny pokaz dla dziennikarzy, którzy jednogłośnie stwierdzili, że Marlena jeszcze nigdy nie miała tak kapitalnej roli. Partnerem Marleny w „Pożądaniu" jest znowu Gary Cooper.

J.

REDAKTOR L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa.